

24.
130378

CZASY STUARTÓW.

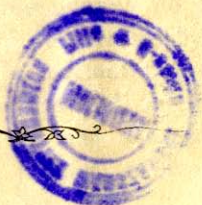
CZASY STUARTÓW.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

Edna Lyall.

Tom I.



WARSZAWA.
NAKŁADEM „BIESIADY LITERACKIEJ.”

[1897]

Дозволено Цензурою.
Варшава, 30 Июля 1892 года.



M 5087

WARSZAWA. DRUKIEM EMILA SKIWSKIEGO.

K-60/81/130378

I.

— Twój młokos wydaje mi się zanadto spokojnym, Randolfie, powinienbyś mu użyzyć trochę twojej energii.

— Hugo ma dopiero lat dziewiętnaście...

— Wcale na to nie wygląda. Musiałeś go trzymać bardzo krótko Randolfie?

— Był w doskonałej szkole, w Westminster, a jeżeli wyszedł ztamtąd niepodobny do kolegów swoich—to nie moja wina ani doktora Busby. Możesz być pewny, że on równie jak ja trzymał chłopca ostro.

— Wierzę w to! — rozśmiał się sir Peregrine Blake — umiałeś zawsze trzymać w ryzie służbę i domowników. Dziwię się jednak, że ten niedorostek ślepo ulega ci we wszystkim.

— Miałem z nim niemało biedy, ale teraz zbieram owoce moich trudów. Hugo będzie zawsze posłusznym narzędziem w moim ręku.

— Dlaczego nie kupiłeś mu stopnia w wojsku?

— On niezdatny do służby wojskowej. Od sześciu miesięcy uczeźczya na prawo, uczy się dosko-

nale. Liczę na młodego Denhama, jego kolegę i przyjaciela, on go trochę rozrusza.

— Trzeba przyznać, że to osobliwa para przyjaciół! — rzekł sir Peregrine — Rupert Denham, największy w Londynie szalawiła i Hugo Wharnciffe, uosobienie biernego posłuszeństwa.

— Biernie posłuszeństwo ma także swoje korzyści — zauważył Randolf, krzywiąc się niechętnie.

Jechali dalej w milczeniu przez pustą, odludną okolicę, zarosłą wrzosem i krzakami tarniny. Nigdzie nie było śladu roli uprawnej, ziemia leżała odłogiem, choć w owych czasach (był to r. 1682) lud nieraz przymierał z głodu. Randolf Wharnciffe, zajęty własnymi interesami, nie zastanawiał się nad tém. Był to czterdziestoletni mężczyzna, o pięknym choć surowym obliczu, z którego można było wyczytać dumę, odwagę i gwałtowność. Nosił, zwyczajem ówczesnym perukę z długimi lokami, karmazynowe szaty, pilśniowy kapelusz i krótki płaszcz, zarzucony na jedno ramię.

Towarzysz jego, sir Peregrine Blake, był może starszy, ale lata nie zostawiły śladu na jego pulchniej, rumianej twarzy. Wyglądał na przeciętnego szlachcica wiejskiego, który za kołnierz nie wyleje, dobrém pieczętem nie pogardzi, może przez trzy dni uganiać się po kniejach za zwierzyną, a drugie trzy dni bawić się i bankietować. Sprawował urząd sędziego w Suffolk i z wielką godnością spełniał obowiązki. Wracał właśnie z Newmarket, gdzie się odbyły jesienne wyścigi i zaprosił na nocleg Randolfa Wharnciffe, wraz z bratem.

Gdy wjechali w gęsty las, Randolf obejrawszy się w około, wstrzymał konia.

— Te młokosy pozostają za nami — rzekł niechętnie — poczekajmy na nich, w lesie łatwo można spotkać bandę rabusiów.

— Co znowu! — odrzekł sir Peregrine. — Jesteśmy o pół mili od mego zamku, a niedaleko jest ztąd wieś Mondisfield.

— Mondisfield! — zawołał Randolf tak szczególnym tonem, że towarzysz spojrział na niego zdumiony.

— No tak, dobra pułkownika Wharnciffe. Zapewne to wasz blizki krewny?

— Nie, na szczęście! — z goryczą odparł Randolf — pokrewieństwo jest bardzo dalekie, ale po jego śmierci majątek na mnie przechodzi.

— Wybornie! — zawołał sir Peregrine — zostańiesz kiedyś moim sąsiadem. Wypijemy dziś na cześć przyszłego pana Mondisfieldu. Oby Bóg jak najprędzej zabrał do Swojej chwały tego zagorzałego republikanina!

— Gdyby król, zamiast przebaczać wrogom, myślał o wynagradzaniu przyjaciół, już od lat dwudziestu byłbym tu panem — rzekł posępnie Randolf, a w chłodnych jego oczach błysnął gniew.

— Ho! ho! — zawołał sir Peregrine — teraz wiem jak rzeczy stoją. Twój ojciec należał do stronników nieboszczyka króla Karola i stracił majątek podczas rewolucji.

— Mniejsza o to cośmy stracili; krew wre we mnie na myśl, że ten faworyt Cromwella, ten wróg

monarchii, opływa w dostatkach podczas gdy wierni poddani króla cierpią biedę.

— Powinienbyś go zaskarżyć o sprzyjanie purytanom lub podstępne knowania przeciw królowi. Jesteś przecież prawnikiem, niepodobna żebyś nie potrafił znaleźć dowodów potępiających...

Randolf nie odpowiedział, może dlatego, że właśnie nadjechali oczekiwani młodzieńcy.

Starszy z nich miał twarz wesołą, uśmiechniętą, z której szczerokość tryskała. Ubiór jego zdradzał modnisią, kochającego się w pozorach. Towarzysz różnił się od niego we wszystkiem. Nie nosił peruki, rysy miał nieco ostre, lecz regularne, szerokie wypukłe czoło, oczy siwe, o ponurym wyrazie; twarz jego tchnęła smutkiem i słodyczą.

— Dlaczego u kata każesz mi czekać tak długo na siebie? — zawołał rozgniewany Randolf. — Widzę, że znowu zbierałeś jakieś zielsko — dodał, spostrzegając pęk roślin, przytroczony do siodła — muszę ja temu koniec położyć.

To rzekłszy, rzucił ziola do rowu.

Hugo powiódł za niemi rozżalonym wzrokiem, ale ani cienia gniewu nie było na jego spokojnej twarzy.

— Miałby się z pyszna ten, toby mnie śmiał zrobić coś podobnego! — rzekł Denham, patrząc ze zdziwieniem na towarzysza — tak się cieszyłeś z swojej zdobyczy.

— Randolf jest dziwnie rozdrażniony — odpowiedział Hugo — musiał się posprzeczać z sir Peregrinem.

— Jakże on ma prawo rozporządzać się twoją własnością! — oburzał się Denham.

— Randolf jest moim bratem i opiekunem, prócz niego nie mam nikogo na świecie — odparł Hugo, ozywając się — winienem mu miłość, szacunek i posłuszeństwo.

W tej chwili koń sir Peregrina się potknął i zaczął utykać.

— Musiał zgubić podkowę — zauważył Randolf. — Hugonie, zobacz, co się stało tej szkapie.

Hugo natychmiast zeskoczył z siodła i podążył do konia. Sir Peregrine zsiadł także, ale zamiast oglądać kopyta swego wierzchowca, zaczął rozmawiać z dziewczyną, która zbierała jagody. Obok niej stało dziesięcioletnie maleństwo, trzymając koszyk napelnięny soczystym owocem.

Sir Peregrine, człowiek lekki, dający się powodować uczuciom, przez pustotę chciał pocałować dziewczynę, ale ona odskoczyła i krzyknęła głośno, wzywając pomocy.

Hugo obejrzał się, zobaczywszy co się dzieje, zmarszczył czoło i pięści zacisnął.

— Ewelino! — wołała napastowana do dziewczynki skamieniałej z trwogi — biegnij po ludzi!

Ludzie byli daleko, jednak pomoc nadeszła prędzej, niż można się było spodziewać. Na krzyk dziewczęcia, Hugo rzucił się na sir Peregrina, objął go ramiionami i rzucił na murawę.

— Uciekaj! — zawołał do uwolnionej.

— Jakże zdołam panu podziękować! — wyszeptwała składając ręce.

— Uciekaj! — powtórzył Hugo dobitnie.

Pierwszy raz w życiu rozkazywał komuś, pierwszy raz zdobył się na samodzielność i postąpił podług woli własnej.

Denham z trudnością wstrzymywał się od śmiechu; Randolf zeskoczył z konia i pomógł wstać sir Peregrinowi; zmarszczone brwi i zaciśnięte usta nie wróżyły nic dobrego dla Hugona.

— Bodajesz przepadł, młokosiel — wrzeszczał sir Peregrine — czekaj, zapłacisz mi za to! Zaraz rozprawię się z tobą!

Pojedynki były wówczas chlebem powszednim, ale Randolf nie chciał dopuścić do tego.

— Nie myślisz przecież bić się z dzieciakiem, Blake — perswadował; — przyrzekam ci, że dostanie dziś porządną lekcję odemnie... Hugonie, przepros natychmiast sir Perigrina.

Na twarzy młodzieńca znać było walkę, toczącą się w jego duszy. Nigdy dotychczas nie stawiał oporu woli brata, ale czy w tym razie, kiedy czuł, że słuszność była po jego stronie, ma się upokorzyć i przyznać do winy? Jeżeli usłucha brata, poniży się moralnie; jeżeli nie posłucha, może zginać z ręki sir Peregrina, słynnego rębacza.

— Co znaczy to wahanie? — odezwał Randolf, kładąc dłoń na ramieniu Hugona — kazałem ci przeprosić sir Peregrina.

— Nie mogę tego uczynić — odpowiedział Hugo zmienionym głosem; — przykro mi, że musiałem się uciec do ostateczności, ale nie mogłem postąpić inaczej.

— Poczekaj, ty młokosiel — zawołał sir Peregrine — ja cię nauczę wtrącania do nieswoich rzeczy.

— Spokojnie, Blake — przerwał Randolf — już ja go nauczę rozumu. Słuchaj, Hugonie, wiesz dobrze, że nie cofam nigdy tego co powiedziałem. Jestem twoim opiekunem, rozkazuję ci przeprosić sir Peregrina.

Nastąpiła cisza, Hugo pobladł jak chusta.

— Słucham cię we wszystkim, bracie — odrzekł drżącym głosem — ale muszę także słuchać głosu mego sumienia.

— Czy *będiesz* mi posłuszny? — zapytał raz jeszcze Randolf, z naciskiem.

Hugo spojrział mu prosto w oczy i odpowiedział stanowczo:

— Nie.

— Więc *giń!* — krzyknął rozjuszony Randolf — Blake, z przyjemnością będę twoim sekundantem; mam nadzieję, że dasz dobrą naukę temu zuchwalcowi.

— *Bijmy się natychmiast!* — krzyknął sir Peregrine.

— Mój przyjaciel ma prawo wyboru broni — odezwał się Denham, biorąc na siebie rolę sekundanta Hugona.

— Bardzo dobrze — zaśmiał się sir Peregrine. — Powiedz mu, że równie dobrze władam szpadą jak pistoletem i nie jednemu już dałem pamiętne...

Obaj młodzieńcy odeszli na stronę, żeby się porozumieć.

— Radzę ci wybrać szpady, kolego — rzekł Denham; — Blake strzela doskonale nie miałbyś żadnych widoków zwycięstwa.

— Niech i tak będzie — z rezygnacją odpowiedział Hugo, wyciągając broń z pochwy.

Denham poszedł ułożyć się z przeciwnikiem o warunki pojedynku, a kiedy wrócił, wesołe jego oblicze cokolwiek spoważniało.

— Jestem w obawie o ciebie — rzekł — Blake silny jak tur, szpadą włada przewybornie a ty...

Hugo zrzucił już płaszcz i kaftan, stał w obcisłej, sukienniej kamizelce. Smukły i wysoki, wyglądał dziwnie młodo i wątko w porównaniu z rozrostłym, herkulesowej budowy przeciwnikiem.

— Nie trać ducha, przyjacielu — ośmielał Denham — inaczej nadzieje cię na rożen jak kurczę.

— Mniejsza o to, byle Randolf nie gniewał się na mnie — westchnął Hugo.

Myśl, że za chwilę może leżeć martwy na murawie, bynajmniej mu się nie uśmiechała. Sekundanci szukali równiej, gładkiej polanki, on tymczasem rozglądał się w około, jak gdyby chciał pożegnać się ze wszystkiem co go otaczało. Nagle usłyszał rżenie swego wierzchowca, przywiązanego do drzewa, i poszedł w tamtą stronę, żeby się z nim pożegnać.

Jakiś szelest w gęstwinie zwrócił jego uwagę; obejrzał się: wśród krzaków spostrzegł jasnowłose dziewczę, niewinną przyczynę przykrego zajścia. Przy niej klęczała siostrzyczka.

— Patrz, Joanno — szepnęło dziecko — to on!

Joanna podniosła głowę, Hugo ujrzał jej różową twarzyczkę, zalaną łzami i dwoje wielkich, błękitnych oczu. Myśl, że te piękne oczy będą śledziły przebieg pojedynku a potem może będą oplakiwały zgon jego, wlała weń dziwną siłę i stanowczość. Żwawym krokiem udał się na polankę, obraną przez sekundantów. Sir Peregrine był już gotów.

Zapaśnicy stanowili rażące przeciwieństwo: sir Peregrine, silny, muskularny, był typem angielskiego szlachcica szalały; Hugo szczupły, wysoki, delikatny wyglądał przy nim jak dziecko. Pod jednym tylko względem miał przewagę nad przeciwnikiem: sir Peregrine trząsał się ze złości, rumiana jego twarz była czerwona jak burak, z oczu pioruny rzuczał; Hugo przeciwnie, był spokojny niemal obojętny.

Wśród ciszy leśnej rozległ się szczeł oręża. Mała Ewelina drżała ze strachu, zakryła twarz rękami; Joanna otarła łzy i z gorączkowym niepokojem przyglądała się walce. Przerazał ją ten widok, a mimo to nie mogła oderwać oczu od niego. Czy dzielny jej obrońca zwycięży niegodziwego napastnika? Niestety! przemówił inaczej, ale Joanna wierzyła w sprawiedliwość Bożą i nie traciła nadziei.

Sir Peregrine nacierał żwawo, Hugo trzymał się z początku odpornie i z ręcznie odbijał ciosy. Fechtunek należał do niezbędnych dla młodzieży umiejętności; Hugo posiadał ją w wysokim stopniu, był zwinny, przytomny, sprężysty, brakło mu tylko siły i wprawy. Joanna zauważyła, że bladł coraz bardziej.

Twarz sir Peregrina z czerwonej stała się purpurową; żyły na skroniach mu nabrzmiały. Promień słońca przedarł się w tej chwili przez zieloną liści opo-
nę i oświetlił blade olicze młodzieńca, także uwydatnił wściekłość malującą się na twarzy jego przeciwnika, który wysilał się, używał rozmaitych sztuk właściwych szermierzom. Nagle Joanna jęknęła, a jednocześnie z piersi sir Peregrina wydarł się okrzyk tryumfu: krew ciekła z prawego ramienia Hugona.

Sir Peregrine tryumfował przedwcześnie; młodzieniec pochwyił szpadę lewą ręką i zanim przeciwnik zdążył się zasłonić, broń jego wyleciała w powietrze a ostrze szpady Hugona utkwilo mu piersi. Padł z przekleństwem na ustach. Joanna jak przez mgłę widziała barczystą jego postać leżącą na ziemi, obu sekundantów pochylonych nad nią i Hugona opartego o drzewo, dyszącego ciężko ze znużenia. Nagle młodzieniec zawrócił w głąb lasu, jak gdyby szukał czego, ale zaledwie uszedł kilkadziesiąt kroków, zachwiał się i padł na ziemię.

— Chodźmy prędko, Ewelino! — zawołała Joanna — on ranny.

W kilka chwil już klęczała przy nim.

— Panie — rzekła niesmiało — czy nie mogłybyśmy opatrzyć twojej rany?

Otworzył oczy na dźwięk tego słodkiego głosu, i wpatrywał się z zachwytem w śliczną twarz dziewczęcia.

— Szukałem wody — szepnął z trudnością — zdaje mi się, że słyshałem w pobliżu szmer strumienia.

— Strumień płynie opodal; biegnij, Ewelino, przynieś wody w kapeluszu.

Dziewczynka pobiegła jak mogła najprędzej.

— Jesteś pan ranny — rzekła Joanna i ująwszy ramię jego drobnymi rączkami, ostrożnie odwiązała pasową wstążkę, którą rękaw od koszuli był związany.

— To tylko draśnięcie — odparł Hugo.

— Jaka szkoda, że tu niema Elżbiety! — westchnęła Joanna.

Hugo bynajmniej nie podzielał tego życzenia.

— Dlaczego? — zapytał z uśmiechem.

— Ona tak zręcznie umie opatrywać rany, kiedy tymczasem ja jestem bardzo niezgrabna — szczerze przyznała się Joanna — spróbuję jednak owiązać ramię, jeżeli pan pozwolisz.

— Ależ proszę! — odrzekł pospiesznie Hugo.

Joanna wyjęła z woreczka chustkę i opatrzyła mu ramię. Tymczasem wróciła zdyszana Ewelina, niosąc pełen kapelusz wody.

— Ani kropli nie wylałam — rzekła tryumfująco.

— Nie dla siebie prosiłem o wodę, lecz dla sir Peregrina — odparł Hugo — czybyś nie mogła mu zanieść orzeźwiającego napoju.

Dziewczynka z niechęcią spełniła jego żądanie.

— Będę musiał zabrać z sobą twoją chustkę, pani — rzekł Hugo do Joanny — pozwolisz mi zatrzymać ją na pamiątkę?

— Chciałabym dać panu co piękniejszego w zamian za to, co dla mnie uczyniłeś. Lękam się, że ta rana będzie ci dość długo przypominała nieprzyjemny wypadek.

— Ja i bez tego będę zawsze pamiętał dzień dzisiejszy. Weź tę czerwoną wstążkę na pamiątkę, panno Joanno. Czy wiesz, że na dworze królowej Elżbiety panie obdarzały swoich rycerzy lub przyjaciół haftowanymi chustkami, które oni nosili przy kapeluszach?

— Nie wiedziałam o tém. Czy ten zwyczaj jeszcze istnieje?

— Zarzuciono go.

— Byłeś pan kiedy na dworze królewskim?

— Często bywałem.

— Chciałabym tam być kiedy! — z dziecięcą ciekawością zawołała Joanna — jakże tam musi być pięknie!

— Bardzo pięknie, ale... nie radbym widzieć tam pani.

— Dlaczego?

— Jesteś za dobra na dwór królewski.

— Zadobra! — powtórzyła Joanna ze zdziwieniem. — Ależ ja wcale nie jestem dobrą.

W téj chwili nadbiegła Ewelina, przynosząc znów kapelusz pełen wody; Hugo napił się chciwie.

— Jakże się miewa sir Peregrine? — zapytał.

— Ranny? Wsadzili go na konia i chcą zawieźć do oberży w Mondisfield.

— Czy co mówił?

— Owszem, mówił, ale niewiele zrozumiałam. Powiedział, że za kilka dni będzie zdrow i, że prędkiej byłby się śmierci spodziewał, niż że go ten młody milczek zwycięży...

Hugo rozśmiał się głośno.

— Muszę już iść — rzekł wstając z trudnością — żegnam was, nie zapomnijcie o mnie.

— Nigdy nie zapomnimy i jeszcze raz dziękujemy ci, panie — odrzekła Joanna rumieniąc się.

Podniósł jój rękę do ust, skinął głową małój Ewelinie i poszedł po swego wierzchowca.

Randolfa i sir Peregrina już nie było; zastał tylko Denhama, który, spostrzegłszy przyjaciela, zawołał rubasznie:

— Gdzieżeś ty był? Szukam cię wszędzie... Ba! ba! co widzę... Piękna dama, w której obronie stanąłeś, opatrzyła rany swego rycerza. Pewno jesteś śmiertelnie zakochany i...

— Daj pokój tym żartom. Jakże się miewa sir Peregrine?

— Staremu zawadycać nic nie będzie. Tak jest zdumiony swoją porażką, że nie ma wcale żalu do ciebie i, pomimo bólu, śpiewa na twoją cześć hymny pochwalne.

— Cieszę się, że rana jest lekka — odparł Hugo z uśmiechem.

— Wiem, że byłbyś niepokieszony, gdybyś przeciwnika na tamten świat wyprawił... Nie wzruszaj ramionami mój pocziwy Hugonie, przecież mówię tylko szczerą prawdę — gawędził Denham.

W téj chwili dał się słyszeć szelest; młodzi towarzysze obejrzeli się i wstrzymali konie: biegła ku nim mała Ewelina.



— Przynoszę panu trzy najpiękniejsze jabłka z naszego sadu — zawołała zdyszana podając owoce Hugonowi — mam nadzieję, że będą panu smakowały.

II.

— Przyjął jabłka?—zapytała Joanna, kiedy Ewelina do niej powróciła.

— Ależ przyjął i był bardzo zadowolony. Ten drugi, co z nim jechał, nazwał mię cherubem... Żartował chyba, bo przecież cheruby są tylko w niebie...

— Wracajmy do domu. Musimy opowiedzieć rodzicom co się stało.

Zabrały koszyk z jagodami i, wyszedłszy z lasu, dążyły drogą wijącą się wśród pól uprawnych, należących do ich ojca.

Niebawem stanęły przed bramą parku. Joanna otworzyła ją, szybko przebiegła zwirowaną aleję, wysadzoną wspaniałymi klonami, a w kwadrans potem stanęła na moście zwodzonym, który prowadził do starożytnego zamku.

Pokój gościnny był najmiłszym zakątkiem zamku; tutaj, w godzinach rannych, pułkownik Wharnclyffe pisał lub czytał, podczas kiedy żona zajmowała się gospodarstwem; tutaj, po obiedzie, siadywała z robotą pani Wharnclyffe, zawsze gotowa wysłuchać każdego, kto pomocy lub rady potrzebował; tu wreszcie zacna matrona spędzała wieczory z mężem, który lubił ciszę, dlatego uciekał od gwaru, sprawianego przez sześcioro

dzieci. I teraz właśnie siedziała pod oknem, z robotą w rękę.

Z uśmiechem spojrziała na wchodzące dziewczęta, położyła palec na ustach, zalecając im milczenie, gdyż ojciec czytał na głos wiadomości z Londynu, które w formie listu krążyły po kraju, zastępując dzienniki; przychodziły zwykle co środa, a oczekiwano na nie z wielką niecierpliwością.

Ewelina przybiegła do matki i pieszcotliwie ją uściskała; Joanna stanęła obok ojca, niby słuchała czytania, ale wiadomości ze stolicy mniej ją dziś zajmowały niż zwykle. Obojętnie przyjęła doniesienie o komecie, która pojawiła się w konstelacji Raka, co miało wróżyć wielkie nieszczęście krajowi; mało ją obchodziło otwarcie szpitala nowego w Chelsea; nawet opis uroczystości dworskich i wyścigów w Newmarket, na których był król z królową, wcale ją nie zaciekawiał.

„Jego królewska mość zabawiał się muzyką i przyjmował deputacje od kilku hrabstw. Jój królewska mość raczyła być świadkiem sztuk wykonanych przez wierzchowca, należącego do jednego z oficerów. To osobliwe zwierze chodzi na trzech nogach, zębami podnosi rękawiczkę z ziemi i inne wyprawia dziwy. Król codziennie poluje z sokołami. Dowiadujemy się, że sir Jerzy Jeffreys wysłany został do Chester, celem przeprowadzenia śledztwa w sprawie ostatniego spisku, związanego na korzyść księcia Monmouth. Księciu zabroniono uczęszczać do Whitehall. Wpływu księcia Yorku wzrasta z dniem każdym.”

— Czy doprawdy kometa zwiastuje nieszczęście, ojcze? — zapytała Ewelina.

— I bez komety można przewidzieć, że kraj czekają dni ciężkiej niedoli, moje dziecko — odparł pułkownik Wharnccliffe.

— Mamy ci coś powiedzieć matko — odezwała się Joanna, i drżącym głosem opowiedziała swoją przygodę w lesie.

Rodzice słuchali z uwagą, a po chmurném obliczu ojca i strwożonej twarzy matki znać było jak ich to obeszło.

— Zapewne sprawka paniczów wracających z Newmarket — zauważył pułkownik; — przykro mi, że cię nastraszyli, Joanno. Masz naukę, żebyś nigdy bez starszych siostr nie wychodziła z zamku.

— Mnie się zdaje, że to byli dworzanie królewscy — rzekła Joanna. — Mój obrońca mówił, że bywa często na dworze.

— Każdy szlachcic może bywać na dworze.

— Powiedział, że nie radby mię tam widzieć.

— Prawdę powiedział. Wolałbym cię widzieć na marach niż w Whitehall! — zawołał pułkownik gwałtownie.

— Wiem także, że człowiek, który mię napastował nazywa się sir Peregrine. Mieli go zawieźć do oberży w Mondisfield.

— Nie myślcie więcej o tym wypadku; pamiętajcie nie chodzić do lasu.

— A tam tyle jagód! — westchnęła Ewelina. — Szkoda, Joanno, że jesteś taka ładna, jak ten zły człowiek mówił.

Pułkownik uśmiechnął się pod wąsem.

— Jestem rzeczywiście ładna, ojcze? — poważnie zagadnęła Joanna, podnosząc na niego błękitne oczy.

Nie chciał powiedzieć jęj prawdy, żeby nie rozbudzać próżności.

— Masz nad czem łamać sobie głowie! Lepiej przeczytaj ostatni rozdział księgi Przysłów, a dowiesz się, co król Salomon pisał o piękności.

Joanna udała się do komnaty, gdzie zwykle przebywały siostry, otworzyła księgę leżącą na stole, i odnalazła zdanie o którym mówił ojciec: „Piękność jest tylko próżnością; niewiasta bogobojna chwaloną będzie — brzmiało ono.

Zbliżyła się do zwierciadła, wiszącego między oknami, i przypatrywała się badawczo odbiciu swęj twarzy. Czy doprawdy piękność to rzecz próżna?

— Elżbieto — rzekła, zwracając się do najstarszej siostry — co to znaczy „próżność”?

— Przeglądanie się w zwierciadle — podchwyciła młodsza od nięj, Robina, śmiejąc się.

— Chcę się dowiedzieć, w jakim znaczeniu użył tego wyrazu król Salomon — dopytywała Joanna, pokazując Elżbiecie wiersz o piękności.

— Próżność to samo znaczy co łacińskie „vanitas” — odezwała się dziewiętnastoletnia Damaris.

— Król Salomon chciał pewno dać do zrozumienia, że piękność jest tylko rzeczą przemijającą i dlatego nie ma żadnej wartości — objaśniła rozsądna Elżbieta.

— Co po urodzie, jeżeli niema dobroci? — rzekła Franciszka, podnosząc oczy z nad haftu.

Joanna westchnęła, bo pomyślała w tej chwili: „Mój Boże, to tak trudno być dobrą!”

— Posłesz się dowiedzieć, kto są ci panowie? — zapytała pani Wharnccliffe męża, kiedy dziewczęta odeszły.

— Napastnikiem był nieomylnie sir Peregrine Blake—odpowiedział pułkownik. — I to sędzia takich dopuszcza się bezprawil Niebezpieczny z niego sąsiad.

— Chciałabym wiedzieć, kto jest ten szlachetny młodzieniec.

— Chętnie poszedłbym mu podziękować za obronę Joanny ale dziś nie śmiem opuszczać domu. Spodziewam się Fergusona i dwóch innych.

— Mają tu zanocować?

— Nie, wyjadą przed świtem. Sam im otworzę i sam ich wypuszczę; nie chcę, żeby służba wiedziała o ich bytności.

— Dlaczego to ma być tajemnicą?

— W tych nieszczęsnych czasach najniewinniejsze zebranie ludzi, którzy chcieliby porozmawiać o przyszłości kraju, uważane jest za zdradę. Gdyby wrogowie moi dowiedzieli się o tém, byłbym w wielkim niebezpieczeństwie. Do tego doszło w Anglii!

— Ale czy z tych rozpraw wyniknie co dobrego?

— Bogu wiadomo...—odparł smutnie pułkownik.

— Nie myślicie przecież działać na korzyść księcia Monmouth.

— W tej chwili nie.

— Mówią, że pan Ferguson jest w ścisłych stosunkach z księciem; dobrze więc, że on tu bywa?

— Sam niezbyt go lubię, ale on jest wszędzie i wie wszystko. Widzisz, kochana żono, kiedy się żyje w takiem jak my ustroniu, trzeba przyjmować ludzi, którzy nam przynoszą nowiny ze świata.

Pani Wharnccliffe westchnęła, myślała o niebezpieczeństwach jakie groziły mężowi, który, ze względu na swoje wyznanie i przekonania polityczne, nie miał dobrej kreski na dworze królewskim.

III.

— Zachowałeś się dziś jak krnąbrny dzieciak, zostaniesz więc ukarany!

Ostry ton głosu Randolfa przestraszył właścicielkę oberży i służącą, które zaprowadziły obu braci do pokoju dla nich przeznaczonego; ale Hugo wysłuchał łajania pokornie, nie próbował się nawet usprawiedliwić. Kochał szczerze Randolfa, pomimo, że brat obchodził się z nim nieraz okrutnie.

Randolf wepchnął Hugona do izby i drzwi na klucz zamknął. Hugo wiedział, że będzie musiał spędzić noc całą w ciemności o głodzie, ale nie przyszło mu na myśl buntować się przeciw wyrokowi brata. Był to charakter bierny, uległy, miłujący przedewszystkiem spokój, stworzony więcj do szperania po księgach niż do życia czynnego.

Izba, w której go zamknięto, była czysta i obszerna, zaopatrzona, w wygodne, dębowe krzesła i łóżko z firankami. Hugo otworzył okno i wyjrzał na ulicę:

naprzeciwko oberży stał kościół z kwadratową wieżą, dalej widać było rozrzucone domy Mondisfieldu.

— Można jeszcze czytać — pomyślał Hugo i wyjąwszy książkę z kieszeni, zatopił się w nią zupełnie.

Nagle garść piasku wrzucił ktoś przez okno.

— To Denham — rzekł do siebie Hugo — byłem pewny, że przyjdzie.

Wychyliwszy się z okna, spostrzegł na dole przyjaciela.

— Byłbym się wcześniej stawił, ale twój brat ciągle mnie miał na oku — tłumaczył się Denham.

— Jakże się miewa sir Peregrine? — zapytał Hugo.

— Nie troszcz się o niego; upływ krwi wyjdzie mu na zdrowie. Masz oto swoje cudowne zioła, zapomniałem ci ich oddać. No, trzymaj!

Cisnął do izby pęk roślin uzbieranych przez Hugona, które Randolph niemiłosiernie sponiewierał.

— Jakim sposobem to odnalazłeś? — zagadnął ucieszony Hugo.

— Przypadkiem. Mniejsza z tem — musisz być głodny, co?

— Jak wilk! Nie przypuszczałem, że pojedynek może tak zaostrić apetyt.

— Smażą właśnie wyborną jajecznicę na słoninie; gdybym mógł jakim sposobem ciebie nią utraktować...

— Nie czyn tego, odejdz; Randolph będzie wściekły, jeżeli cię zobaczy.

Denham pogardliwie machnął ręką.

— A cóż mię to może obchodzić? Rzucę ci chociaż kawałek chleba.

— Wytrzymam do rana. Bardzo jestem zmęczony i zaraz się położę. Dobranoc.

Zamknął okno dziękując Bogu, że brat nie schwytał go na rozmowie z przyjacielem.

Teraz dopiero uczuł głód; od wyjazdu z Newmarket nie miał nic w ustach, a tymczasem z dołu dochodziła ponętna woń jajecznicy, podniecająca więcej jeszcze uczucie głodu. Naraz przypomniał sobie, że ma jabłka ofiarowane przez małą Ewelinę; zjadł je chciwie i, pokrzepiony skromnym posiłkiem, nabożnie ukląkł do pacierza. Nigdy nie zaniedbywał tego obowiązku, choćby największe czuł znużenie.

Tymczasem na dole Randolph i Denham zajadali z apetytem wieczerzę, nie troszcząc się ani o sir Peregrina, jęczącego w sypialni, ani o Hugona, zamkniętego o głodzie. Denham potępiał postępowanie Randolpha, ale był tyle roztropny, że głośno tego nie objawiał.

Randolf pierwszy zaczął mówić o pojedynku.

— Za krnąbrność surowo skarzę Hugona, ale rad jestem z tego co się stało. Nie przypuszczałem, że ten młokos pokaże się dzielny mężczyzną. Twoje towarzystwo, Rupercie, wywiera na niego wpływ zba wienny.

Denham roześmiał się i wychylił kubek piwa.

— Nikt nie jest prorokiem pomiędzy swymi — rzekł. — W domu stawiają mi za przykład Hugona.

— Rozmaite są zdania — sucho zauważył Randolph. — Nie chciałbym, iżby Hugo stał się moim książkowym, pragnę go widzieć na dworze.

— Głową ręczę, że Hugo nie zrobi tam karyery.
— Bredzisz!

— Być może. I ja wolałbym, żeby Hugo miał łaski u króla; niezawadzi mieć na dworze wpływowego przyjaciela.

W tej chwili oberżysta wprowadził do izby nowego gościa.

— Każę zaraz podkuć konia — mówił uniżenie — ale pora jest spóźniona, drogi złe, niepewne, może wazsza cześć zanocuje?

— Ani myślę! — szorstko odpowiedział podróżny. — Mam co innego do roboty, niż grzać się przy ogniu i spijać wasze kwaśne piwo.

Pogardliwe i dumne obejście nieznanego do tknęły oberżystę; nie zapraszał go już na noc, ale niebawem dał do zrozumienia kowalowi, że nie potrzebuje się spieszyć z podkuciem konia.

Gość zbliżył się do ognia i, skłoniwszy się lekko obu panom, zauważył, że wieczór jest chłodny.

Denham wdał się z nim w rozmowę, nieznamy jednak odpowiadał półsłówkami i, wydostawszy książeczkę z kieszeni, zaczął ją bacznie przeglądać. Randolf przypatrywał mu się z uwagą; on już widział kiedyś tę brzydką, piegowatą twarz, z niespokojnymi oczyma, które miały wyraz niezwykle zuchwały. Kto to mógł być? Nagle przypomniał sobie: Był to Ferguson, słynny prezbyteryanin, uczestnik wszystkich spisków, nieposkromiony wichrzyciel, który chociaż wielokrotnie stawał przed sądem, umiał się jednak zawsze bez szkody i ujmy dla siebie wykręcić. Mówiono o nim nawet z tego powodu, że zna się na czarodziejstwie.

Dokąd jechał zaciekle spiskowiec? Może do pułkownika Wharnclyffe? Randolf postanowił dowiedzieć się o tém. Poczekał, dopóki oberżysta nie przyszedł oznajmić gościowi, że koń jego już podkuty, następnie, owinąwszy się w płaszcz spokojnie wyszedł z izby.

— Kto są ci panowie? — zapytał Ferguson.

— Nie umiem tego powiedzieć waszej cześci — odparł oberżysta; — wracają z Newmarket.

Ferguson dosiadł konia i przez kilka chwil jechał wolno.

— Héj! chłopcze! — zawołał do przechodzącego wyrostka — którą drogą do zamku Mondischall?

— Na prawo, potem przez strumień.

— Dziękuję.

Zaledwie Ferguson zniknął na zakręcie, Randolf wysunął się z poza muru i wrócił do oberży. Przekonawszy się, że Denham, po obfitej libacyi śpi jak zabity, udał się na górę i otworzył pokój, w którym zamknął Hugona. Zastał go śpiącego odsunąwszy franki przypatrywał mu się przez kilka chwil z niepokojem.

Randolf kochał brata i żał mu było budzić go po takim zmęczeniu, lecz nie należał do ludzi, którzy cofają się w połowie drogi; potrzebny mu był świadek, a wiedział, że nikomu nie może tak zaufać jak Hugonowi.

— Wstan! — rzekł rozkazująco, ujmując brata za ramię.

Młodzieniec zerwał się i przetarł oczy.

— Co się stało? — zapytał zdumiony.

— Ubierz się i pójdz ze mną.

Nie potrzebował zalecać pośpiechu, gdyż zaledwie słów tych dokończył, Hugo wyskoczył z łóżka i ubierał się skwapliwie, bez oznaki niechęci. Brat patrzył na niego z tajonem uwielbieniem; niepodobna było wymagać więcej posłuszeństwa, wierności, zaparcia siebie. W milczeniu zeszli ze schodów i w sieni spotkali oberżystę.

— Nie zamykaj drzwi dopóki nie powrócimy — rzekł Randolf.

— Spełnię rozkaz waszej części — z uniżonością odparł oberżysta.

Randolf zapalił fajkę, szedł zwolna, jakgdyby miał na celu przechadzkę; dopiero na zakręcie przyspieszył kroku i biegł tak szybko, że Hugo zaledwie mógł za nim zdążyć. Daremnie młodzieniec łamał sobie głowę, nie mógł odgadnąć tajemnych zamiarów brata, a nie śmiał go pytać.

Randolf pierwszy przerwał milczenie.

— Wziąłem cię z sobą, gdyż wiem, że na tobie mogę polegać bezpiecznie — rzekł uroczyście.

Hugonowi serce żywiżej uderzyło; nieprzyzwyczajony był do pochwał ze strony brata.

— Nie będziemy już mówili o twojem dzisiejszym zachowaniu się — ciągnął dalej Randolf; — przebaczam ci tym razem i chcę nawet dać ci sposobność wyrządzenia mi przysługi.

— Co mam zrobić? — zagadnął Hugo.

— Dowiesz się później. Wszak mogę liczyć na ciebie?

— Najpewniej.

— Pamiętaj. To, czego dokonamy dzisiejszej nocy, może przynieść korzyść nietylko dla nas obu, ale i dla króla. Bacz na wszystko co ujrysz i co usłyszysz, ale milcz, dopóki ja ci mówić nie każę.

— Dobrze — rzekł Hugo coraz więcej zaciekawiony.

Tak rozmawiając dostali się do parku. Wspaniała aleja klonowa podobną była w nocy do olbrzymiej świątyni gotyckiej; wiatr żałośnie szumiał wśród gałęzi i z szelestem zrzucał zeschnięte liście na ziemię. Uczucie trwogi przejęło Hugona. Co znaczyła ta wybieżka tajemnicza? Jakiego dzieła mieli dokonać po nocy? Do czego on się zobowiązał?

— Zachowaj się jaknajciszej — ostrzegł Randolf.

Przeszli właśnie most zwodzony i zbliżali się chyłkiem ku zamkowi. Hugo szedł posłuszny i milczący; przykro mu było skradać się wśród mroku, jak złodziej, do cudzego domu.

Dokoła głęboka panowała cisza; w zamku wszystko spało, ani jeden promień światła nie błyszczał w oknie. Randolf dostał się na taras i z uwagą obchodził zamek. Nagle zatrzymał się, położył palec na ustach. W południowym skrzydle czuwano jeszcze; świadczyła o tém smuga światła, wydobywająca się przez szpary okiennic. Bracia zbliżyli się do okna; przez szczeliny zasuw drewnianej mogli nietylko widzieć wszystko, co się działo w komnacie, ale i słyszeć rozmowę.

Przy stole, zastawionym resztkami wieczerzy, siedziało czterech mężczyzn; w jednym z nich Randolf

poznał Fergusona. Opowiadał z wielkiem ożywieniem, a towarzysze pochlaniali każde jego słowo. Najstarszy, widocznie pan domu, słuchał z głową opartą na rękę; na poważnym, szlachetnym jego obliczu malował się głęboki smutek.

— Naród nie może, nie chce znosić dłużej poniewierki! — mówił podniesionym głosem Ferguson. — Parlament jest sługą króla... Wolę księcia Yorku, on przynajmniej jest uczciwym człowiekiem.

Pan domu musiał zwrócić uwagę gościa, że mówi zbyt donośnie, gdyż natychmiast głosy przycichły i nie można już było dalszej usłyszeć rozmowy. Ferguson wyjął książeczkę, oprawną w skórę, i coś z niej odczytywał, a pułkownik wstał, otworzywszy jakąś księgę, szukał w niej znać wiadomości lub objaśnienia.

Hugo widział doskonale każdy rys jego twarzy i nie mógł sobie przebaczyć, że wraz z bratem grają rolę szpiegów.

Nagle zdrętwiał z przerażenia. Drzwi komnaty otworzyły się bez szelestu i weszła postać w bieli, podobna do widma; nie był to jednak duch, lecz Joanna Wharnccliffe, której nigdy już nie spodziewał się ujrzeć. Goście pułkownika także się przerażili; nawet Fergusonowi słowa skonały na ustach.

— To moja córka — objaśnił pułkownik — będąc dzieckiem miała zwyczaj chodzić po nocy śpiącą, ale już od lat wielu to jej się nie zdarzyło... Joanno moja, chodź ze mną.

— Obudzi się i zdradzi nas — rzekł jeden z gości.

— Bądźcie spokojni — odparł pułkownik. — Joanno, dziecko moje, pójdź.

Ujął córkę za rękę i łagodnie wyprowadził z pokoju.

Randolf dotknął ramienia Hugona; obaj po cichu zsunęli się z tarasu, niepostrzeżenie przebyli park i wydostali się na drogę.

— Bardzo dobrze się zachowałeś — odezwał się Randolf — trzeba było wiele mocy, żeby nie krzyknąć na widok tej dziewczyny, podobnej do mary.

— Teraz powiedz mi Randolfie, pociągniesz tam chodzili? — zapytał Hugo zmienionym głosem.

— Potrzebowałem świadka, ażeby stwierdził wraz ze mną, że w zamku odbywają się tajemne narady spiskowców.

— Czy znasz właściciela zamku i dlaczego pragniesz jego zguby?

Randolf zaśmiał się dziwnie.

— Mam ci powiedzieć jego nazwisko? Nazywa się Franciszek Wharnccliffe.

— Więc to jego córka! — zawołał Hugo.

— Jedna z sześciu córek. Powinniśmy dziękować Bogu że pułkownik nie ma syna, gdyż inaczej Mondisfield nigdyby się nie dostało w moje ręce.

Teraz dopiero młodzieniec zrozumiał pobudki postępowania brata. Wczoraj jeszcze nie byłoby go to obeszło, ale dziś, po raz pierwszy, zbudziło się w nim poczucie męskiej siły i samodzielności, a wraz z nim własny sąd o rzeczach.

— Pod żadnym pozorem nie wymieniaj w obrotach naszego nazwiska — przestrzegwał Randolf; — nikt nie powinien wiedzieć, że jesteśmy krewnymi Wharnccliffea...

— Na cóż ta tajemnica? — niechętnie zapytał Hugo.

— Nie mam potrzeby zwierzania się przed tobą! — gniewnie odparł Randolf.

Młodzieniec umilkł i szedł dalej, dobywając sił ostatka.

— Oslabłeś, jak widzę — zauważył Randolf, spstrzegając, że brat się chwieje na nogach. — Wesprzyj się na mnie.

Ujął go za ramię, Hugo jęknął mimowoli.

— Do licha! — mruknął Randolf — zapomniałem, że jesteś ranny. Wezmę cię pod drugie ramię. Bardzo cię boli?

Pierwszy raz w życiu Randolf przemawiał do Hugona serdecznie i troszczył się o niego; pierwszy raz obaj bracia szli wsparci o siebie. Młodzieniec zapomniał o wszystkich dzisiejszych przykrościach, a pierś jego napelniła się radością, kiedy brat rzekł do niego:

— Biełeś się jak rycerz: jestem dumny z ciebie.

IV.

Nazajutrz przypadła niedziela. Wesóły głos dzwonów kościelnych zbudził ze snu Hugona; wyjrzał przez okno i ucieszył się na widok pogodnego nieba, na którym jasne świeciło słońce. Ubrał się spiesźnie i zszedł do izby, gdzie czekało już na niego śniadanie, złożone z wybornych pstrągów. Przy stole siedział tylko Denham.

— Jakże się czujesz po pojedynku, Hugonie? — zapytał przyjaciel.

— Wcale dobrze, choć rana nieco mi dolega. Gdzież Randolf?

— Zapewne w tej chwili dojeżdża do Edmondsbury.

— Poco tam pojechał? — zagadnął młodzian niepokojnie.

— Prawda, ty o niczem nie wiesz. Słuchaj więc tylko mię nie zdradz przed Randolfem: Dziś przyjechał cyrulik i, opatrzywszy ranę sir Peregrina, wdał się z nami w gawędę. Dowiedzieliśmy się, że zna dobrze właściciela Mondisfieldu. „Co to za człowiek, ten pułkownik Wharncliffe?” — zapytał twój brat. — „Zagorzały republikanin i purytanin” — odrzekł cyrulik — „pozwała heretykom odprawiać co niedziela nabożeństwa w swojej stodole.” — I władza na to pozwala?” — zauważył Randolf. — „Pułkownik Wharncliffe jest powszechnie lubiony i szanowany, nikt go więc nie zaskarży” — odpowiedział cyrulik. Wtedy Randolf wyznał mi, że nienawidzi swego krewnego, pragnie go zgubić, a teraz zdarza mu się sposobność ku temu.

— Pojechał więc do Edmondsbury zaskarzyć pułkownika?

— Naturalnie. Za godzinę odbędzie się w stodole dramatyczna scena: wilki w postaci żołnierzy wpadną do owczarni, rozproszą owieczki i wezmą do więzienia pasterza. Wyobrażam sobie, co się tam będzie działo!

Hugo słuchał z udaną obojętnością; jedząc śniadanie łamał sobie głowę nad tém, w jaki sposób mógłby zapobiedz skrzywdzeniu ojca Joanny. Stając po stronie pułkownika krzyżował zamiary brata, ale sumienie nakazywało mu bronić niewinnych.

— Idziesz do kościoła? — zapytał Denham, widząc, że Hugo wstaje.

— Pójdę — machinalnie odparł młodzieniec.

— Ja ci towarzyszyć nie będę; ciężki jestem jakiś...

Hugo nie namawiał przyjaciela; wzięwszy kapelusze ze strusimi piórami, poszedł do kościoła. Nabożeństwo właśnie się rozpoczęło, ale młodzieniec nie słyszał co się dokoła niego działo; wsparłszy głowę na rękę zapytywał sam siebie: w jaki sposób ostrzedz pułkownika o grożącym mu niebezpieczeństwie. Co jednak będzie, jeżeli Randolf dowie się kto pokrzyżował jego plany? Hugo zadrzał na myśl o gniewie brata, ale nie wahał się ani chwili. Na czystej kartce papieru skreślił następujące słowa: „Panie! Oskarżono cię, że utrzymujesz stosunki z heretykami. Konstabile z Edmondsbury zaskoczą was dziś podczas modlitwy i uwiężą. Miej się na ostrożności.”

Złożywszy papier wyszedł z kościoła. Nie było ani chwili do stracenia, młodzieniec spieszył ile miał siły i niebawem stanął zdyszany przed wielką stodołą, położoną opodal innych zabudowań folwarcznych. Przez szczelinę ujrzał kilkudziesięciu ludzi, słuchających z natężoną uwagą kaznodziei, stojącego przy pulpicie.

— Okoliczności stwarzają nieraz bohaterów — mówił — wiecie, czem był Św. Paweł przed swoim nawróceniem, a czego dokonał później. Żyjemy w ciężkich czasach, powinniśmy uczyć się cierpliwości i wytrwania.

Hugo pomiędzy słuchaczami ujrzał pułkownika Wharncliffe siedzącego na ławce, a przy nim Joannę, której oczy tchnęły spokojem i pobożnością. Śmiało otworzył drzwi i wszedł do stodoły.

Zgromadzeni podejrzliwie spoglądali na przybysza; jego wytworne szaty stanowiły rażące przeciwieństwo z ich skromną, szarą odzieżą. Zkąd się wziął ten obcy? Był to niezwykle wypadek i z pewnością nie dobrego nie wróżył.

Młodzieniec spokojnie zbliżył się do pułkownika i, podawszy mu kartkę, szepnął:

— Przeczytaj pan natychmiast.

Potém skłonił się Joannie zapłonionej, zmieszanej i wolnym krokiem opuścił stodołę, odprowadzony spojrzzeniami pełnymi obawy i niechęci. Za ledwie jednak drzwi zamknął za sobą, pułkownik Wharncliffe wybiegł za nim skwapliwie.

— Dziękuję panu za ostrzeżenie — rzekł — chciałbym wiedzieć, komu jestem winien tę przysługę.

— O tém pragnę zamilczeć.

— Nie nalegam, choć bardzo żałuję, że nie wiem nazwiska dzielnego obrońcy mojej córki. Jestem pewny, że to pan nim byłeś i stokrotnie ci za to dziękuję.

— Nie zasłużyłem na żadne podziękowanie, spełniłem tylko obowiązek honoru, — odparł Hugo i zaraz

potem dodał spiesznie: — Na miłość Bożką, uciekajcie! Słyszę tętent koni od strony Edmonsbury. Powiedz mi pan, gdziebym mógł się ukryć w tej chwili; będę zgubiony, jeżeli mój opiekun mię tu zobaczy.

— Tam pod wierzby — rzekł pułkownik, wskazując mu nieprzebytą gęstwinę wierzb, krzaków i zarośli nad brzegiem strumienia.

Hugo jednym skokiem przesadził szeroki rów i zniknął w zielonym labiryncie krzewów. Pułkownik niezwłocznie wrócił do stodoły, zamknął drzwi frontowe i, zwracając się do zgromadzonych, rzekł dobitnie:

— Przyjaciele, jesteśmy zdradzeni. Grozi nam wielkie niebezpieczeństwo, musimy rozproszyć się natychmiast. Otworzyć bramy na dziedzińcu! — rozkazał swoim ludziom — uciekajcie przez park małemi gromadkami; starcy, chorzy, kobiety i dzieci niech się schronią do zamku.

Purytanie nie okazali trwogi, spokojnie, bez zamieszania i popłochu opuszczali stodołę, dążąc w stronę parku. Pani Wharncliffe udała się do zamku, podtrzymując chorą kobietę, która nie mogła uciekać; za nią szły córki, niosąc dzieci na ręku, lub wspierając chwiejne kroki starców; tylko Joanna została, nie chcąc odstąpić ojca, który podobnie jak kapitan okrętu, czekał dopóki ostatni człowiek nie opuści stodoły. Serce jój biło jak młotem, ale na twarzy malował się wyraz stanowczy.

Tętent koni ucichł nagle, zato tuż pod stodołą rozległy się krzyki:

— Oto jest kryjówka heretyków!

— Jesteś tu, Joanno! — szepnął pułkownik, teraz dopiero spostrzegając obecność córki — już zapóźno na ucieczkę. Chodź za mną!

Pociągnął ją ku drabinie, wiodącej na strych, gdzie złożone było siano. Joanna wdrapała się tam ze zwinnością wiewiórki, tymczasem żołnierze dobijali się do drzwi a wyważywszy je, wpadli do stodoły. Na widok pustych ławek gniew i zawód odbił się na ich twarzach.

— Byłem pewny, że zdążymy na czas — rzekł starszy konstabl stropiony, zwracając się do niemłodego szlachcica w szkarłatnym płaszczu i ogromnej peruce — ktoś musiał to uczynić.

Randolf nie posiadał się z wściekłości, zdołał przecież zapanować nad sobą.

— To niepodobna — odparł chłodno — któżby mógł ich ostrzedz?

— Wasza cześć wie najlepiej, czy kto był wtajemniczony w wasze zamiary.

— Denham! czyżby Denham mnie zdradził? — pomyślał Randolf. — A może Hugo dowiedział się o zasadzce i po raz drugi wszedł mi w drogę? Nie, tego przypuścić nie można. Co oni robią? — zapytał głośno, wskazując na żołnierzy, którzy rąbali ławki.

— Mamy rozkaz niszczyć wszystkie sprzęty używane przez heretyków do ich nabożeństwa — odparł konstabl.

— To nie doprowadzi was do celu! Dlaczego nie idziecie do zamku aresztować pułkownika Wharncliffe.

— Możemy iść do zamku, jeżeli taka wola wasza, ale nie możemy aresztować pułkownika, chyba, że zastaniemy go odprawiającego heretyckie obrządku.

— Bodaj was piekło pochłonęło z waszemi formalnościami! — zaklął Randolf. — Pójdźmy do zamku; może zastaniemy tego herszta spiskowców prawiącego kazanie.

Na rozkaz dowódcy, żołnierze pospieszili ku zamkowi. Pułkownik i Joanna wszystko słyszeli i widzieli ze swojej kryjówki.

— Ojczel! — szepnęło dziewczę, gdy pozostali sami — kto był ten człowiek w pasowym kapeluszu i dlaczego on ciebie tak nienawidzi?

— Nie wiem, moje dziecię — odparł pułkownik — nie znam go wcale. Niewątpliwie jest to opiekun szlachetnego młodzieńca... Zejdźmy na dół, teraz nie mogą nam wyrządzić nic złego.

Opuszcili kryjówkę i udali się w stronę strumienia.

— Widzę jakąś głowę wśród zarośli! — szepnęła strwożona Joanna, ujmując ojca za ramię.

— Zapewne nasz obrońca — rzekł pułkownik. — Muszę z nim pomówić; lękam się, czy nie odpokutuje za swoje poświęcenie.

— Znów będzie cierpiał z naszego powodu! — zawołała Joanna. — Gdyby można przestrzedz go o niebezpieczeństwie...

— Bogu dzięki, jesteście ocaleni — rzekł Hugo, wychodząc z zarośli — obawiałem się, czy nie będzie zapóźno.

— Jesteśmy ocaleni dzięki tobie zacny młodzieńcze! — potaknął pułkownik, ściskając jego rękę — drzę jednak na myśl co się z tobą stanie.

— Gdybym mógł dostać się do kościoła, mój opiekun nie mógłby mnie podejrzewać...

— Wskażemy ci boczną ścieżkę przez pola; jest to droga o wiele bliższa i nie spotkasz na niej nikogo.

— Mam nadzieję, że rana się już goi? — nieśmiało zagadnęła Joanna, kiedy wszyscy troje byli już wśród pola.

— Nieinaczéj; zawdzięczam to starannemu opatrunkowi pani — rzekł Hugo, nie spuszczać oczu z jej twarzy.

Czuł się szczęśliwym, że idzie obok Joanny i może słuchać słodkiego jej głosu. Ile razy pomyślał jednak, że dzisiejszej nocy szpiegował jej ojca, że będzie zmuszony świadczyć przeciw niemu, zgroza go przejmowała. Pułkownik zauważył, że w duszy młodzieńca toczy się jakaś ciężka walka.

— Oto kościół — rzekł zatrzymując się. Hugo poniósł do ust rękę Joanny, a potem zwrócił się do jej ojca:

— Nigdy nie zapomnę tego co dla nas uczyniłeś, młodzieńcze! — mówił pułkownik — daj Boże, ażebyś przez całe życie postępował tak szlachetnie jak dziś.

Hugo westchnął ciężko. To był dopiero początek cóż będzie później? Czy starczy mu sił do walki z Randolfem? czy się nie ugnie pod jarzmem despotycznego brata i nie zaprze się swego sumienia? Jeszcze raz obejrzał się za Joanną. Już nigdy pewno jej

nie zobaczy, nigdy jój nie wyzna swojej miłości, nie będzie mógł nazwać jój swoją żoną.

Nabożeństwo nie skończyło się dotąd; Hugo ukląkł i zatopił się w modlitwie.

V.

Nigdy jeszcze położenie Anglii nie było tak przykre jak w roku 1682. Za ledwie pół wieku temu wylano rzeki krwi, ażeby zapewnić wolność krajowi, tymczasem teraz naród znowu jęczał pod jarzmem Stuartów. Nowy parlament, w którym wielkie pokładano nadzieje, zebrał się w marcu, a już w kwietniu został rozwiązany z woli króla. Anglia tak niedawno jeszcze wielka i potężna dzięki Cromwelowi, dziś była służebnicą pokorną Ludwika XIV, który zato płacił Karolowi II. Król dążył do władzy nieograniczonej, było to niemożliwe, dopóki Londyn i inne miasta posiadały odrębne swoje prawa i przywileje. Starano się wszelkimi sposobami wymóżyć na obywatelach zrzeczenie starożytnych ustanowień, ale oni bronili się dzielnie.

Pod względem obyczajowym społeczeństwo upadało coraz niżej, oddawało się, za przykładem dworu i króla, rozpuszcieniu. Grzech stał się modą, cnota była przedmiotem żartów i naigrawania. Wstydy, sumienie, uczciwość jakby nie istniały, występki i okrucieństwa dworu i stronnictwa króla wołały o pomstę do nieba. Ziemia przesiąkała krwią nieszczęsnych katolików,

mordowanych bez litości za swoje przekonania religijne; ośm tysięcy purytanów zginęło w więzieniu.

Było to szóstego listopada; cały Londyn gotował się do uroczystego obchodu rocznicy odkrycia spisku prochowego. Bito w dzwony, tłumy przystrojone odświętnie snuły się po ulicach, kobiety wstawiały świece napelnione garnki w glinę, gdyż wieczorem miała się palić iluminacja.

Hugo siedział przy stole zajęty czytaniem, nie obchodziło go wcale dzisiejsze święto. Randolfa nie było, mógł więc swobodnie siedzieć nad książką wśród ciszy i samotności, które tak lubił. Nagle drzwi się otworzyły do pokoju wszedł stary sługa, który od lat dwudziestu wiernie służył rodzinie Wharncliffe i nie opuścił ich nawet podczas morowej zarazy, kiedy śmierć zabrała i wyludniła cały dom w przeciągu tygodnia, oszczędzając tylko obu braci. Hugo był wtedy dzieckiem wątłym i delikatnym. Jeremiasz stał się dla niego najtkliwszą, najstaranniejszą piastuną, dzięki jemu chłopiec wychował się zdrowo.

Serdeczne przywiązanie łączyło ich obu. Ile razy Hugo został surowo ukarany przez Randolfa za jakieś drobne wykroczenie, biegł uzalić się i wyplakać do Jeremiasza, który zawsze umiał pocieszyć go i rozzerwać, opowiadając mu o bitwach, dzielnych wojownikach. Stary purytanin należał do armii Cromwela, bił się pod Marston-Moor, kilkakrotnie przelewał krew za wolność.

— Ciągle tylko ślęczysz nad książkami, chłopcze? — rzekł niechętnie — nigdy z ciebie nie będzie dobrego żołnierza.

— Nie wszyscy mogą być żołnierzami—łagodnie odrzekł Hugo — wiesz, że nie jestem stworzony do tego. Zapal fajkę i usiądź przy ogniu; ręczę, że w twojej izdebce zimno jak w lodowni. Randolph wróci jutro dopiero.

Stary sługa przysunął do komina dębowe krzesło.

— Niechaj Bóg niedopusci, żebyś miał kiedy wejść na tę drogę, co twój brat — mówił pośepnie.

Hugo zerwał się, na blade lica jego wystąpił rumieniec.

— Jerry! zawołał stanowczo — na mnie możesz mówić co ci się podoba, ale na mego brata nie waz się powiedzieć słówka, bo ja nie zniosę tego. Sądzisz, że jest w Londynie choć jeden szlachcic, któryby prowadził życie zgodne z twemi surowemi zasadami?

— Z pewnością nie—odparł stary sługa.

Hugo ochłonął tymczasem i już żałował swego uniesienia.

— Przepraszam cię, Jerry, za moję porywczosć; jeżeli mię kochasz, nie mów nigdy o moim bracie i o księżnój. Co do mnie, możesz być pewny, że nie będę ich naśladował.

Twarz starego żołnierza rozchmurzyła się; zanim zdążył odpowiedzieć, zapukano do drzwi i do izby wpadł Denham, wesoły i strojny.

— Ach! ty młody pustelniku! — zawołał ze śmiechem—byłem pewny, że zastanę cię nad książką. Czy nie wiesz, że dziś rocznica odkrycia spisku prochowego i że obowiązkiem każdego dobrego protestanta jest weselić się i przeklinać papistów?

— Nienawidzę ścisku i gwaru—rzekł Hugo.

— Dzieciństwo! Ubieraj się i chodź ze mną. Stracisz w końcu oczy nad książkami; nieprawdaż Jeremiaszu, że mam słusznosć?

— To samo mówiłem mu przed chwilą.

Hugo z westchnieniem odsunął książkę.

— Widzę, żeście się zmówili... Rad nie rad muszę być powolnym.

Jeremiasz przyniósł mu kapelusz, zarzucił płaszcz i przypasał szpadę.

— To ci dobrze zrobi, mój chłopcze — rzekł z miną piastunki, podającój lekarstwo dziecku.

Na ulicach ciżba była tak wielką, że z trudnością mogli torować sobie drogę; puszczano fajerwerki, palono beczki ze smołą, w oknach płonęła iluminacya, a wielu ludzi niosło w ręku pochodnie. Gwar panował nie do opisania, zewsząd odzywały się śmiechy i wrzaski, pieśni i przekleństwa, a wszystko to głużył odgłos dzwonów.

Wtém zabrzmiały dźwięki trąb i huk bębnow: procesyja się zbliżała, tłum popłynął w stronę posągu królowej Elżbiety, zkąd nadciągał pochód.

— Wróć się — niechętnie mruknął Hugo — nie cierpię tych maskarad.

— Cicho! bo cię wezmą za papistę—przestrzegał Denham — musisz iść do nas na wieczerzę; ojciec mój powiada, żeś zapomniał o nas, a radby cię przedstawić pułkownikowi Sydney.

Hugo uśmiechnął się z zadowoleniem. Pochlebiało mu to, że sir William Denham uważał go za gośdnego takiój znajomości.

— Słyszałem od Jeremiasza ody pochwalne dla pułkownika Sydney; ojcem jego był zmarły lord Leicester, nieprawdaż?

— Tak jest. Mój ojciec jest nim zachwycony, chociaż pod względem przekonań politycznych różnią się bardzo. Ojciec powiada, że ty i on przyszlście na świat o kilkaset lat zawcześniej, bo nie jesteście stworzeni ażeby żyć wśród ludzi społecznych, których przerastacie o głowę.

W obszernej komnacie domu sir Williama Denham palił się ogień na kominku, rzucając szkarłatne odbłyski na wschodnie, wzorzyste firanki, japońskie biurka i piękne obrazy zawieszane na ścianach. Na fotelu siedziała lady Denham, matrona poważna, z łagodną twarzą, okoloną siwemi lokami. Bononński piesek, śpiący u jej nóg, zerwał się na widok gościa i zaczął szczekać na niego, ale zaraz został przyprowadzony do porządku przez pannę Maryę Denham, synowicę i wychowanicę sir Williama. Sam gospodarz rozmawiał właśnie z pułkownikiem Sydney; na odgłos kroków zwrócił ku młodzieńcowi pomarszczone, dobroduszne oblicze.

Hugo ciekawie spojrział na niemłodego mężczyznę, w którym domyślił się pułkownika Sydney i odrazu uczuł do niego sympatyę. Była to postać nader charakterystyczna. Wysoki, silnie zbudowany, trzymał się prosto pomimo lat sześćdziesięciu; rysy miał wybitne, nos rzymski, czoło myślące. Zaciśnięte usta, okolone pokrętym wąsem, zdradzały silną wolę i gwałtowny charakter, wielkie, siwe oczy patrzyły śmiało

i badawczo, twarz miała wyraz smutku, surowości i powagi.

— Pozwól, pułkowniku, że przedstawię ci naszego przyjaciela, Hugona Wharnclyffe — rzekł sir William Denham, kiedy młodzieniec powitał panie. — Młodzieńcze, pułkownik Algernon Sydney.

Hugo skłonił się z szacunkiem.

— Znanie mi jest twoje nazwisko młodzieńcze — odezwał się pułkownik, patrząc z zajęciem na Hugona — czy nie pochodzisz czasem z hrabstwa Suffolk?

— Rodzina Wharnclyffe w Suffolku jest z nami spokrewnioną — rzekł Hugo z pewnym zakłopotaniem.

— Z ich przyczyny miał niedawno pojedynek pierwszy w swoim życiu — wtrącił młody Denham.

— Nie ja go wywołałem — bronił się Hugo.

— Wiemy, wiemy — rzekł dobroliwie sir Denham — Rupert opowiedział mi jak się to stało. Dobrze postąpiłeś, chłopcze, a sir Peregrine słusznie został ukarany. Nie wiesz jak się miewa?

— Randolf mówił, że już zdrów, z czego się bardzo cieszę.

— Lepiej ci się powiodło, młodzieńcze, niż mnie w moim pierwszym pojedynku — odezwał się pułkownik Sydney — jest to barbarzyński zwyczaj, którego nie wykorzenią najsurowsze kary.

— Z czasem wyczaj ten ustanie — zauważył Hugo.

— Jestem tego pewny, nastąpi to jednak nie w skutek edyktów monarszych przez rozwój cywilizacyi. Skoro każdy Anglik zrozumie, że ma obowiązki względem kraju, przestanie wtedy czynić igraszkę ze swego życia, które ma cele wyższe i szlachetniejsze.

Hugo zamyslił się nad temi słowami. Nikt dotąd nie mówił mu o wyższych celach życia, o obowiązkach względem kraju.

Oznajmiono wieczerzę, wszyscy przeszli do sali jadalnej. Pułkownik Sydney mówił o prawach przysługujących każdemu obywatelowi, rozwodził się nad upośledzonym stanowiskiem kobiet, które uważano jedynie za cacka.

— Kobiety tak samo powinny kształcić swój umysł jak mężczyźni, bo pod względem uzdolnienia stoją z nimi na równi — mówił — nieraz można im pozazdrościć trafności zdania. Od nich głównie zależy szczęście społeczeństwa, gdyż one wychowują młode pokolenie.

— Jeżeli mamy się uczyć jak mężczyźni, to ktoż będzie się zajmował kuchnią i gospodarstwem? — odezwała się Marya Denham.

— Łatwo można pogodzić jedno z drugim — odparł Sydney: — kobieta rozsądna i pracowita znajdzie czas na naukę i na gospodarstwo.

— Nie jedno dziewczę radeby się kształcić i posiadać nieco wiedzy, ale mężczyźni nie lubią mądrych kobiet — wtrąciła lady Denham.

— Bo przy kobiecie mądrój ginie mniemana ich wyższość — rozśmiał się Sydney.

— Broniąc praw niewieścich, zapominasz o wieczerzy, pułkowniku — przerwała lady Denham — pozwól, że ci włożę kawałek pasztetu ze zwierzyny.

— Sama go przyrządzałam — dodała Marya.

Była to piękna brunetka, o żywych, czarnych oczach; lica jej krasiał rumieniec, ciemne włosy były

ufryzowane podług ówczesnej mody, purpurowe usta zdobił uśmiech powabny. Między nią a Hugonem istniał od dwóch lat stosunek przyjacielski; oboje byli w jednym wieku, ale Marya wydawała się starszą i nikomu nawet na myśl nie przyszło, żeby uczucie przyjaźni mogło się zmienić w jej sercu na miłość.

Ona jedna wiedziała, że Hugo ostrzegł pułkownika Wharnccliffe o grożącym mu niebezpieczeństwie, także wiedziała wszystkie szczegóły pojedynku i pragnęła usłyszeć coś więcej o czarującej Joannie.

— Powiadam ci, że to przesliczna dziewczyna — mówił Rupert zreżnie badany przez siostrę — włosy jak złoto, oczy jak niezabudki.

Marya mimowoli westchnęła. Jaka szkoda, że jej włosy były ciemne, a zrenice zupełnie czarne! Blondynki są zawsze piękniejsze od brunetek.

— Zaśpiewaj nam, Hugonie — prosił sir William Denham — pułkownik posłucha cię z przyjemnością. Marya może ci akompaniować na szpinecie.

Dziewczę zasiadło przed szpinetem, Rupert zapalał świece, tymczasem Hugo wybierał między nutami nową pieśń miłosną, utworu znakomitego ówczesnego muzyka, Purcell'a. organisty opactwa Westminster.

— Ten chłopiec ma przesliczny głos — szepnął sir William do Sydneya — za lat kilka może zostać znakomitym śpiewakiem.

Niezadługo rozległ się w komnacie głos miękki i przedziwnie czysty. Nigdy jeszcze młodzieniec nie śpiewał z takim ogniem i uczuciem. Marya dawniej zarzucała mu brak życia i ciepła, ale dziś, słuchając tkliwych tonów pieśni, uczuła dziwny ból w sercu.

Kto inny nie ona rozbudził świat uczuć drzemiący w duszy Hugona, do kogo innego nie do niej stosowały się słowa tęskne i rzewne.

Sluchano pieśni w głębokiem milczeniu. Pułkownik Sydney, wsparłszy głowę na rękę, niespuszczał oczu z twarzy śpiewaka. Żaden obcy człowiek nie pociągnął go do siebie, jak ten młodzieniec o zadumanych oczach. Jednak były to usposobienia sprzeczne: Sydney surowy i nieugięty, Hugo łagodny i uległy; tamten czynny i energiczny, ten skłonny do marzycielstwa; pierwszy dobiegł niemal do kresu życia, drugi nie rozpoczął życia prawie.

Sydney patrząc na Hugona, mówił do siebie: „Chciałbym mieć takiego syna”. Niestety! nie miał żony, z rodziną dzieliła go różnica przekonań, a przyjaciół liczył niewielu. Na schyłku dni stał samotny. Słusznie mówił sir William, że powinien był urodzić się kilkaset lat później; wyprzedził swój wiek i dlatego nie powodziło mu się w życiu. Odjęto mu nawet możność służenia krajowi, który tak kochał, nie miał wpływu na młode pokolenie; zamiast uznania, obdarzono go nienawiścią i szyderstwem.

Kiedy patrzył na Hugona, stanęła mu w oczach jego własna młodość. Z jaką nadzieją i zapałem obejmował dowództwo pułku! W trzy lata później wybuchnęły niesnaski między Karolem I i parlamentem; bez wahania wziął stronę parlamentu, marząc o świetnej dla Anglii przyszłości. Z ochotą znosił trudy uciążliwej kampanii, narażał się na niebezpieczeństwa, bo wierzył, że krwią okupi wolność kraju. Zaczęto młodzińca spotkało gorzkie rozczarowanie.

Potem inny obraz stanął mu przed oczyma: komnata w Westminster, a w niej gromadka ludzi, radzących nad losem króla. Sydney jest przeciwny wyrokowi śmierci, żąda tylko, iżby go pozbawiono tronu i usunięto z kraju. Daremnie jednak staje w obronie swego nieprzyjaciela; słuchają go niechętnie, patrzą nań podejrzliwie, a Cromwel woła do niego: „Powiadam ci, że strącimy mu głowę razem z koroną!” On wtedy powstał i rzekł z mocą: „Możecie czynić co wam się podoba, nie zdołam was powstrzymać, ale ja do tego ręki nie przyłożę.” Opuścił zebranie i nigdy już nie zasiadł w gronie tych ludzi.

Pamięta jak gdyby dziś chwilę, kiedy w samotnym parku Peus-purst otrzymał wiadomość o ścięciu króla. Cromwel objął rządy, sprawował je rozumnie i energicznie, ale Sydney nie mógł iść ręką w rękę z mężem, który, pomimo swoich cnót i zdolności, nie był republikaninem lecz tyranem. Pułkownik wszedł do Izby Gmin i wyniósł ztamtąd jedno z najboleśniej-szych wrażeń. Cromwel, nie mogąc nakłonić posłów, ażeby poddali się jego woli, kazał ich rozpedzić przemocą. Sydney widzi posępną jego postać w czerni, słyszy odgłos kroków żołnierzy, czuje dotknięcie rąk Harrisona i Wortleya, którzy zmusili go do opuszczenia miejsca. Po tym gwałcie usunął się w wiejskie zacisze i przez pięć lat nie brał udziału w sprawach publicznych.

Powołano go wreszcie do prowadzenia układów z Danią i Szwecją, lecz wtedy właśnie Stuarci wracają do władzy, a dla Sydneya rozpoczynają się smutne dni

wygnania. Kilka lat tuła się po Francyi, Niemczech i Włoszech, pod ciągłą grozą skrytobójczych dłoni.

Pozwolono mu nakoniec wrócić do Anglii, patrzeć zbliska na jój zgubę.

— Prześliczna pieśń! — zawołała lady Denham, kiedy Hugo skończył — zaśpiewaj co jeszcze.

— Od wyjazdu z Rzymu nie słyszałem tak pięknego śpiewu — odezwał się Sydney. — Był tam tenor, imieniem Geronimo, który miał głos podobny do twojego, młodzieńcze. Śpiewasz także włoskie pieśni?

— Śpiewam je często królowi — odparł Hugo — on woli włoską muzykę niż angielską.

Oblicze Sydneya zachmurzyło się. W tej chwili służący oznajmił, że Jeremiasz czeka na dole i chciałby się widzieć ze swoim panem. Hugo spiesznie zeszedł, a kiedy powrócił na górę, twarz jego miała wyraz niezadowolenia.

— Muszę odejść — rzekł, podchodząc do lady Denham — król wzywa mię do Whitehall.

— Będziemy często się widywali, nieprawdaz? — zwrócił się do niego pułkownik Sydney.

Hugo uradowany ze czcigęsną ręką jego uściskał.

— Rodzina pozwala mu bywać w Whitehall! — zawołał Sydney, kiedy drzwi się za Hugonem zamknęły.

— Brat jego, jeden z wielbicieli księżny Cleveland, radby mu zapewnić stanowisko na dworze. Randolph Wharncliffe jest szorstki i gwałtowny a chłopiec ulega mu we wszystkim.

VI.

Wielką galeryą królewskiego pałacu Whitehall zapełniał tłum dworzan, których świetne, różnobarwne szaty sprawiały wrażenia kwiecistego ogrodu. Goetling, sławny ówczesny bas, śpiewał właśnie pieśń, swobodnej treści, towarzyszył mu na harpsikordzie signor Giovanni Battista Draghi. Królowa z dwiema damami grała w ulubionego *Hombra*, goście i dworzanie zabawiali się po większej części opowiadaniem plotek i nowin lub prawili komplementa paniom.

Hugo niechętnie szedł do królewskiego pałacu, nie mógł się nigdy dostroić do tonu jaki tam panował. Ci ludzie mieli inne cele, dążenia i upodobania, prowadzili inny tryb życia. Mimo to lubiono go bardzo z powodu przeslicznego głosu i urody.

Hugo szukał spojrzenia brata, niepewny czy nie ściągnął jego gniewu przez późne nadejście. Spieszył się jak mógł, ale powrót do domu, przebranie się w dworskie szaty i droga do pałacu zabrały mu sporo czasu. Randolph stał niedaleko króla wsparty o posąg marmurowy, surowa twarz jego miała zwykły wyraz niezadowolenia. Machinalnie rozczesywał pukle długiej peruki szylkretowym grzebieniem, lecz na widok brata zaprzestał tej zabawki dla zabicia czasu i obrzucił go badawczym spojrzeniem. Musiał być kontent z jego ubioru i zachowania się, gdyż na czole jego nie ukazała się złowroga zmarszczka, której Hugo tak się obawiał.

Młodzieniec lżej odetchnął, zbliżył się do króla poprzedzany przez szambelana. Kształtna, wysmukła jego postać korzystnie się przedstawiała w wytwornych szatach z granatowego aksamitu, bramowanego złotem, obejście miał pełne godności, ruchy nacechowane wdziękiem i swobodą.

Karol siedział na ottomanie między panią Gwynne i księżną Cleveland, jedną z najbardziej wolnomysłnych kobiet ówczesnych. Hugo nienawidził jej i cierpiał bardzo na myśl, że taka istota trzyma Randolfa w swoich pętlach.

— Późno przychodzisz, Wharnccliffe — rzekł król z łaskawym uśmiechem, podając mu rękę, którą młodzieniec na klęczkach ucałował.

— Spieszyłem się jak mogłem, najjaśniejszy panie — odrzekł Hugo — łaskawe wezwanie waszej królewskiej mości nie zastało mnie w domu.

— Bawiłeś pewnie na Fleet-Street wraz z innymi, co? — zaśmiał się król.

— Nie, najjaśniejszy panie, byłem u sir Wiliama Denham.

— Członka akademii? Pamiętam go, mąż bardzo uczony. Zdaje mi się, że ma śliczną synowicę; będzie to kiedyś bogata dziedziczka. Widzisz księżno — dodał zwracając się do księżny Cleveland — wyrwaliśmy go z miłego towarzystwa. Czy nadobna dziewczyna była bardzo na mnie rozgniewana?

— Wasza królewska mość jest w błędzie.

— Nie zaprzecz się, że ci było przykro opuścić Denhamów? — zagadnął król, śmiejąc się z zakłopotania młodzieńca.

— Znajdował się istotnie gość, z którym byłbym rad dłużej przestawać — przyznał Hugo z właściwą mu szczerością.

— Któż taki? Powiedz nam co o nim: brunetka czy blondynka?

— To nie była kobieta, lecz przyjaciel sir Wiliama.

— Muszę wiedzieć nazwisko mego spółzawodnika, którego towarzystwo jest dla ciebie miłsze niż moje.

Hugo się zmieszał.

— Był to pułkownik Sydney — odezwał po chwili. Król zadrżał.

— Na moją duszę, młodzieńcze! — wykrzyknął — jesteś bardzo zuchwały, kiedy ośmielasz się wymówić przy mnie nazwisko tego człowieka.

— Stało się to z rozkazu waszej królewskiej mości — tłumaczył się Hugo z godnością.

— To prawda; lubię cię za to, że nie nauczyłeś się jeszcze kłamać — rzekł Karol z uśmiechem. — Uczciwy człowiek w tych czasach jest osobliwym zjawiskiem; sumienie wyszło zupełnie z mody.

Zamyślił się i sposepniał.

— Chciałbyś częściej widywać pułkownika Sydney? — spytał po chwili.

— Tak najjaśniejszy panie — spokojnie odpowiedział Hugo.

— Dlaczego?

— Wydał mi się człowiekiem niepospolitego umysłu i wielkiego serca.

— Czy wiesz, że to jeden z najniebezpieczniejszych wicherzycieli i buntowników? że chciałby zaprowadzić w Anglii rzeczpospolitą?

Hugo stał jak na rozżarzonych węglach. Wiedział, że Randolf go słucha i potępia każde jego słowo, jednakże postanowił bronić Sydneya.

— Najjaśniejszy panie — rzekł śmiało lecz z uszanowaniem — nie znam się na sprawach politycznych, ale jestem pewny, że pułkownik Sydney należy do najszlachetniejszych mężów w Anglii.

— Nie ma w całym kraju drugiego człowieka, któryby się ośmielił powiedzieć mi to w oczy — mruknął Karol — w każdym razie, chciałbym mieć w tobie wierniejszego poddanego niż pułkownik Sydney... Dosyć tego, zaśpiewaj mi teraz.

Hugo był ucieszony, że się rozmowa skończyła. Trzeba była istotnie nie małej odwagi, żeby wobec monarchy i całego dworu bronić człowieka tak nielubionego jak pułkownik Sydney. Z ciężkiem sercem poszedł Hugo do harpsikordu i podał nuty signorowi Battista, który miał mu towarzyszyć. Śpiewał kilkakrotnie a za każdym razem sute zbierał oklaski. Skończywszy ostatnią pieśń, szukał oczyma brata, ale ani Randolfa, ani króla nie było w galeryi.

Obaj rozmawiali półgłosem w przyległej komnacie przeznaczonj na prywatne posłuchania; przedmiotem ich rozmowy był Hugo.

— Powiadasz więc, że chłopiec jest przyzwyczajony do ślepego posłuszeństwa i że można mu ufać? — mówił król.

— Zupełnie, najjaśniejszy panie. Wychowany został w zasadach bezwarunkowj uległości, uczyni wszystko co mu każę.

— W takim razie niech zawiąże bliższe stosunki z tym zdrajcą, wydobędzie z niego wszystkie tajemnice i wyjawi je nam, skoro nadejdzie odpowiednia pora. Jesteś pewny, że skłonisz go do tego?

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— Nie podzielam twojój pewności — rzekł król, zamysłony — wcale mi się nie wydaje tak uległym jak go przedstawiasz.

— Wasza królewska mość przebaczy jego zachowanie się, nie zna jeszcze dworskich zwyczajów.

— I nie nauczył się kłamać — szyderczo zauważył król.

— Zresztą zobaczymy; ręczę za to, że Hugo nie będzie miał tajemnic przedemną. Na żądanie waszj królewskj mości pozwolę mu zaprzyjaźnić się z pułkownikiem Sydney, gdyż obaj pragniemy służyć we wszystkiem naszemu monarsze.

— Niech i tak będzie — rzekł Karol, poczem obadwaj wrócili do galeryi.

Król z pewnym żalem spojrział na Hugona, który miał zostać bezwiednym narzędziem zasadzki, ale po chwili zapomniał o nim i zaczął wesolą rozmowę z piękną i dowcipną księżną Mazarini.

Randolf zbliżył się do Hugona, który z roztargnieniem słuchał pieśni Gostlinga.

— Przejdź się ze mną — rzekł półgłosem — chcę z tobą pomówić.

Gwar i dźwięki muzyki pozwalały braciom rozmawiać z sobą tak swobodnie, jak gdyby byli u siebie.

— Udało ci się — zaczął Randolph — sądziłem, że popadniesz w niełaskę. Na szczęście król wziął wszystko z dobrej strony.

Piękne oblicze młodzieńca rozjaśniło się; czego innego spodziewał się od Randolfa.

— Nie mam nic przeciwko temu, żebyś widywał pułkownika Sydney — mówił dalej brat starszy — muszę cię jednak przestrzedz: mów o nim jak najmniej, gdyż możesz tém zaszkodzić i sobie i jemu. Zrozumiałeś mię?

— Będę ostrożny. Jakże jestem szczęśliwy, że mi pozwalasz mieć bliższe stosunki z pułkownikiem... On także pragnie mię widywać. To wielki i zacny człowiek!

Randolf uśmiechnął się dobrotliwie.

— Przedemną możesz śpiewać hymny pochwalne na cześć jego, ale przy obcych trzymaj język na wodzy. Ja sam przyznaję, że to rozumny człowiek; wiele podróżował, zna świat i ludzi.

— Kto jest to piękne dziewczę, stojące w pobliżu harpsikordu? — zagadnął nagle Hugo, któremu twarz nieznanomój przypominała Joannę.

— Księżna Grafton, córka lorda Arlington.

— Jaktóż mężatka? Ależ ona wygląda na dziewczkę.

— Miała lat pięć, kiedy ją wydano za mąż po raz pierwszy; w dziesiątym roku życia owdowiała, a w dwunastym zaślubiła jednego z synów królewskich. Poproszę jej świekry, żeby cię przedstawiła.

Hugo nie opierał się temu.

— Para niewiniątek doskonale będzie się bawić z sobą — rzekła księżna Cleveland, kiedy Randolph wyłuszczył jej swoją prośbę — dziwię się, że się dotąd nie znają... Kochanko — dodała, zwracając się do zaplonionej synowej — przedstawiam ci pana Hugona Wharneliffe, uosobioną cnotę.

Oboje młodzi zmieszali się na te szydercze słowa, młodzieniec pierwszy oprzytomniał.

— Jakże się pani podoba gra signora Battisto? — zagadnął.

Spojrzała na niego z wdzięcznością i upewniwszy się, że świekra jej nie słyszy, rzekła półgłosem.

— Muzyka jedynie mi uprzyjemnia wieczory dworskie. Nie lubię bywać w Whitehall, jestem pewna, że pan podzielasz moje zapatrywanie.

— Nie można żyć wśród książek jedynie — zauważył Hugo — dziś byłbym wiele stracił, gdyby mój przyjaciel Denham nie był mię wyciągnął z domu.

— Czy to krewny Maryi Denham?

— Brat stryjeczny.

— Znam dobrze Maryę i zdaje mi się, że wspominała kiedyś o panu. Wszak to pan znalazłeś dla sir Wiliama rzadką roślinę, której tak pragnął.

— Natrafiłem na nią przypadkiem, wracając z wycieczki w Newmarket. Równa zasługa należy się memu przyjacielowi, który znalazł ją powtórnie.

Mała księżna spojrzała na niego z miłym uśmiechem. Wiedziała o pojedynku i chwaliła w duszy Hugona za to, że nie wspominał o nim.

— Sir Evelyn mówił mi raz, że król ma w bibliotece ciekawe dzieło o botanice, z przeslicznymi kolorowanymi obrazkami. Chciałbyś pan je zobaczyć?

— Bardzo, ale nie mogę dziś prosić króla o żadną łaskę.

— To ja poproszę. Sprawi mu to przyjemność, lubi bowiem kiedy jego poddani zajmują się nauką. Właśnie zbliża się do nas.

Z wdziękiem skłoniła się przed królem, prosząc o pozwolenie obejrzenia książki.

— Chętnie—odparł król—jeden z szambelanów wskaże ci drogę. Pozwalam ci iść bez duenny; sam na sam z takim ładnym chłopcem będzie ci nader przyjemne. Na Jowisza! czerwienisz się jak różyczka, ręczę, żeś się już zakochała w tym młodziku.

Mała księżna w towarzystwie jednej ze starszych dam dworskich udała się do biblioteki, a szambelan ze świecą w ręku wskazywał im drogę, prowadząc przez szereg wspaniałych komnat. Hugo obojętnie patrzył na kosztowne obicia i bogate sprzęty naraz przed jednym z obrazów zatrzymał się zachwycony.

— Proszę, poświęć pan pan bliżej — zawołał do szambelana — co za przesliczne malowidło!

— To obraz pędzla Holbeina; przedstawia Chrystusa, który po Zmartwychwstaniu ukazuje się Maryi Magdalenie — objaśnił szambelan. — Dzieło niezmiernie cenne.

Hugo i księżna stali przed obrazem w niemym zachwycie; od téj chwili związał się między nimi stosunek szczerzej rzyjjażni.

— Oto biblioteka — rzekł szambelan otwierając drzwi przyległej komnaty.

Mieściło się tam najmniej tysiąc tomów, co na owe czasy stanowiło dość bogatą księżnicę. Dzieło o botanice nie było drukowane lecz pisane po francuzku, może trzysta lat temu. Wielki manuskrypt *in-quarto* zdobyły przesliczne miniatury kwiatów. Hugo oglądał je z niekłamaną przyjemnością i objaśniał nazwy księżnie, która pomimo swojej młodości (liczyła dopiero lat piętnaście), okazywała inteligencją i chęć nauki nad wiek.

— Musisz mię pan odwiedzić — rzekła — przedstawię cię memu mężowi, który z pewnością będzie rad pana poznać. Sir Evelyn ci się podoba; jest bardzo dobry i rozumny.

Tak się zakończył ów pamiętny dla Hugona wieczór.

VII.

Dziennik Joanny Wharnccliffe.

„Postanowiłam pisać dziennik, ażeby zaznaczyć w nim ważniejsze zdarzenia mego życia. Dotąd płynęło ono spokojnie i jednostajnie, ale od tego dnia, kiedy nieznamy rycerz skarcił w pojedynku zuchwałego napastnika, dzieją się rzeczy niezwykle. Zaraz nazajutrz, w niedzielę, kiedy zebraliśmy się jak zwykle na nabożeństwo, nieznamy młodzieniec ostrzegł

nas, że jesteśmy zdradzeni i wszyscy musieli się rozproszyć. Ojciec i ja ukryliśmy się na strychu, bo inaczej byliby nas uwięzili. Potem znów spotkaliśmy nieznanego młodzieńca, który sam był w wielkim niebezpieczeństwie.

Od owego dnia jestem zupełnie inna, ale nie wiem czy lepsza. Książki zajmują mię więcej niż igła, kuchnia i spiżarnia, ku wielkiemu oburzeniu mojej drogiej, poczciwej Elżbiety, która choć tak rozumna, nie może pojąć, jaki pożytek może przynieść czytanie. Wczoraj weszła do pokoju i rzekła do mnie:

— Wolałabym, Joanno, żebyś nie traciła czasu na czytanie poezyj i tragedyj.

Czytałam właśnie dzieło Szekspira: „Romeo i Julia” i zawstydziałam się trochę, bo może to istotnie jest marnowanie czasu czytać miłosne historie. Podało mi się bardzo to dzieło, bo Romeo przypomina mi mego rycerza; tak samo bije się w pojedynku, jest piękny młody i szlachetny.

— Widzisz, Betty — odparłam — czytanie sprawia mi wielką przyjemność i tyle myśli nasuwa do głowy, kiedy tymczasem gotowanie puddynków i smażenie konfitur to bezmyślna robota.

— Gotowanie puddynków nazywasz bezmyślną robotą! — zawołała zgorziona Elżbieta — przez cały czas musisz mieć uwagę skupioną.

— A tak: Czy dosyć włożyłam cukru? Czy nie będzie za ciężki? Jak długo musi się gotować? Ja tego nie nazywam myśleniem.

— Jednak więcej jest pożytku z tego, niż z czytania książek — zauważyła Elżbieta. — Jaką korzyść

przyniosła ci godzina, którą spędziłaś nad Szekspirem i Miltonem? Żadnej. Tymczasem gdybyś była poszła do kuchni, byłabyś mogła przez ten czas zrobić paszтет lub upiec placków na wieczerzę.

Nie wiedziałam co na to odpowiedzieć. Czułam, że coś skorzystałam przez tę godzinę czytania, ale ta korzyść nie była dotykana jak paszтет albo placki. Nagle przyszła mi szczęśliwa myśl.

— Widzisz, Betty! — zawołałam z tryumfem — puddynę się zje i już jest po nim, książka zaś pozostaje, można ją czytać wiele razy, i nauczyć się z niej wiele.

— To samolubstwo — odparła Elżbieta; — korzyść i przyjemność z czytania są tylko dla ciebie, z puddynę zaś wszyscy mają pożywienie.

Na to nie znalazłam odpowiedzi. Czy istotnie źle jest czytać? Jeżeli tak, dlaczegoż tylu sławnych ludzi pisało książki?

Ojciec przywiązywał różę pod oknem i musiał słyszeć naszą rozmowę, gdyż w tej chwili wszedł do pokoju.

— O dzieci, dzieci! — rzekł dobrotliwie — jedna mówi tak jak gdyby człowiek miał tylko duszę bez ciała, a druga jak gdyby posiadał ciało bez duszy. Posłuchaj, Betty książki są pokarmem dla umysłu i ten co czyta nie jest samolubem, jak ten co śpi, je, lub przechadza się dla pożytku swego ciała. Kto zaniedbuje karmić swój umysł, czyni równie źle a nawet gorzej niż ten, który lekceważy zdrowie. Co zaś do ciebie, moja mała Joanna — dodał, kładąc rękę na mojej głowie — wiem, że jesteś dobrą i roztrofną dziewecz-

ką, postarasz się zatem być użyteczną w domu i pomagać matce. Kiedyś będziesz miała swój dom i gospodarstwo, trzeba więc żebyś zawczasu umiała dać sobie z niém radę.

Umyślnie zapisałam całą naszą rozmowę, ażeby nie zapomnieć słów ojca. Powtarzam je sobie zawsze, ilekroć mię zawołają do kuchni. Ciekawa jestem, czy Julia byłaby umiała zarządzać dobrze domem swego męża, gdyby nie była umarła. Jestem w tym wieku co ona.

Smutnej rzeczy dowiedziałam się od ojca: oto, że Mondisfield niezawsze do nas należeć będzie. Muszę opowiedzieć tę historią od początku: Siostry poszły do sadu zbierać jabłka, ja tylko zostałam i przędłam na galeryi, która okalała salą jadalną. Dawniej codzień grywała tu muzyka, ale teraz grywają u nas tylko raz do roku, na rocznicę urodzin Elżbiety, dwunastego maja. Jest to wielka w domu uroczystość; śpiewy, tańce, obiad dla dzierżawców, — bawimy się zawsze doskonale. Niektórzy się dziwią, że ojciec pozwala nam tańczyć i mają mu to za złe, ale ojciec powiada, że trzeba unikać wszelkich ostateczności, a skromna i umiarkowana rozrywka potrzebna jest dla młodzieży.

Siedziałam więc przy kołowrotku, kiedy wtém usłyszałam jakiś łaskot: obraz, przedstawiający małego chłopca z pieskiem, spadł na ziemię. Pobiełam szybko żeby go podnieść: rama była złamana, ale malowidłu nic się nie stało. Przyglądałam się ciekawie, gdyż pierwszy raz widziałam go zblizka. Przedstawia slicznego dwuletniego chłopca w białym czepeczku, z grzechotką w ręku. Odwróciłam obraz i na drugi

stronie wyczytałam napis: Hugo Wharncliffe, a niżej mój ojciec dodał: „Ten portret uratowany został z wielkiego pożaru w Londynie, roku 1666”.

Kto był Hugo Wharncliffe? Czyżbyśmy miały brata, który umarł? Kiedy zastanawiałam się nad tém nadszedł ojciec.

— Czy to nasz brat, ojcze? — zagadnęłam, wskazując portret.

— Nie dziecię — odrzekł mój ojciec z westchnieniem — to portret naszego dalekiego krewnego. Brat jego po mojej śmierci będzie panem tego domu.

— Jakto! — zawołałam z przerażeniem.

Wtedy ojciec mi wytłumaczył, że ponieważ nie miał męzkiego potomka, dobra jego przechodziły na własność Randolfa Wharncliffe.

— W jaki sposób dostałeś ten obraz, ojcze? — zapytałam po chwili.

— Matkę tego chłopca wysoko ceniłem i kochałem — odrzekł mój ojciec — umarła podczas zarazy, zostawiając dwóch synów: dwudziestoletniego Randolfa i małego Hugona, którego portret wykończył właśnie znany w Londynie artysta. Kiedy w następnym roku byłem w stolicy, przyszedł do mnie ów malarz, pytając się, czy nie wykupię wizerunku. Zgodziłem się na to, ażeby mieć pamiątkę po lady Wharncliffe i zabrałem obraz do siebie. Tęj samej nocy wybuchnął straszny pożar w Londynie. Dotąd nie wiem, jakim sposobem zdołałem wtedy ocalić siebie i rzeczy. Na pamiątkę wypadku zapisałem na odwrotnej stronie portretu, ażeby potomkowie chłopca wiedzieli jakie obraz przechodził koleje.

— Sądziłam, że nikt inny nie będzie właścicielem Mondisfieldu, tylko my.

— To być nie może, dziecię. Dziękowałbym Bogu, gdybym mógł do śmierci pozostać tu panem. Randolph Wharnccliffe ma wielki wpływ na dworze, a jest moim nieprzyjacielem.

— Jak można być twoim nieprzyjacielem! — zawołałam, patrząc w szlachetne i poważne oblicze ojca.

— Zawadzam mu. Podczas wojny domowej rodzice jego stracili majątek i nie odzyskali go już potem. Nie może patrzeć na to, że wrogowie króla opływają w dostatki, kiedy, on najgorliwszy stronnik monarchii, musi się liczyć z groszem.

— Czy i on także jest twoim nieprzyjacielem? — zapytałam, wskazując portret dziecka.

— Zapewne podziela uczucia brata.

Ojciec wyszedł, a ja pobiegłam do ogrodu zbierać jabłka. Długo rozmawialiśmy o tém wszystkiém z Eweliną; ona mię najlepiej rozumie, choć jest młodszą o lat sześć.

Rodzinę mam liczną. Najstarsza z nas sześciu, Elżbieta, ma już dwadzieścia lat, jest bardzo pracowita i biegła w robotach domowych; Domaris umie po łacinie i slicznie haftuje; Franciszka jest podobna we wszystkiém do Betty, ale ma serce tkliwsze; ja jestem czwartą z kolei, młodszą nieco Robina a najmłodszą jest Ewelina, mała pieściotka. Ona powiada, że powinnabym opisać siebie, ażeby ci, co będą czytać ten dziennik, wiedzieli jak wygląda autorka; niezgadzam się na to, pragnęłabym opisać moją matkę, czuję jednak, że nie podolałam zadaniu.

Przed chwilą właśnie weszła do naszego pokoju, niosąc pęk lawendy; mamy napełnić nią woreczki i włożyć je między bieliznę. Ewelina siedzi obok mnie na stołeczku i zajada jabłka; wszystkie mamy ich pełne kieszenie. Ciekawa jestem, czy dzieci, które kiedyś w przyszłości zamieszkają w Mondisfield, będą prowadziły tak szczęśliwe życie jak my? Wiem tylko, że nigdy nie będą tak gorąco kochały naszego starego domu jak my go Kochamy.

Składam już pióro, trzeba się teraz wziąć do igły."

VIII.

Hugo dotąd nie troszczył się wcale o sprawy publiczne, dopiero pułkownik Sydney rozbudził w nim do nich ciekawość. Młodzieniec widywał go teraz często i coraz większy ucuwał do niego pociąg.

Raz, wracając z Westminster Hall, zatrzymał się przed księgarnią i zaczął przeglądać tytuły nowych książek.

— Oto najświeższe dzieło, jakie w tym roku wyszło z druku — zachęcał księgarz — poemat Drydena: „Absalon i Architopel”.

Hugo zaczął właśnie przerzucać książkę, kiedy usłyszał za sobą głos Randolfa.

— Co tam masz? Ach! ostatni utwór Drydena. Wszyscy o nim mówią. Trzeba go kupić; jest tam przyczepka do jednego z naszych znajomych.

Zapłacił za książkę, wzięwszy Hugona pod rękę poszedł z nim nad Tamizę, gdzie wsiadł z bratem w łódkę i kazał się wieźć do Temple.

— Oto jest przyczepka!—zawołał Randolf, przetrzuciwszy książkę — czy pamiętasz noc w Mondisfield i szpetnego jegomościa, który z takim prawil zapalem? To był właśnie Ferguson; Dryden opisał go w tym poemacie pod postacią Judasza.

— Przypominam go sobie — odparł Hugo, który byłby rad zapomnieć o wstrętnej roli, jaką obaj wtedy odegrali.

— Zapamiętaj dobrze każdy rys jego twarzy, może ci się to przydać — mówił Randolf, przeglądając dalej książkę.

Wzmianka o nocy spędzonej na podpatrywaniu właściciela Mondischall sprawiła przykrość Hugonowi. Myśl, że może zostanie powołany jako świadek przeciw pułkownikowi Wharncliffe, dręczyła go jak zmora; nie mógł dziś wysiedzieć w domu i, przebrawszy się, poszedł do państwa Denham. Marya Denham rozproszy smutne myśli, da mu dobrą radę, pokrzepi i uspokoi. Szczęście mu sprzyjało, gdyż zastał ją samą, siedzącą przy kominku; sir Wiliam spał na sofie w drugim końcu pokoju.

— Dołóż drewek na komin — rzekła do Hugona Marya — jest już ciemno i nie widzę dobrze twojej twarzy. Co się stało?

— Nic — odparł — czytałem nowy poemat Drydena: „Absalon i Architofel”.

— I dlatego tak posmutniałeś? Ja także czytałam tę znakomitą satyrę i przyznaję, że zabawiła mnie bardzo.

Hugo nie odpowiedział, popadł w głęboką zadumę. Marya od razu odgadła, że mu coś dolega. Czyżby wciąż myślał o tej jasnowłosiej dziewczeczce, którą po rycersku obronił od napaści? Gdyby choć zwierzył się jęj ze swojej miłości, łatwiejby to zniosła, umiała by go pocieszyć i rozweselić. W jęj uczuciu dla Hugona nie było nic samolubnego; sama cierpiała, ale nie chciała, żeby on cierpiał. Nie była zazdrosna o tę nieznaną Joannę, której Hugon oddał swoje serce, owszem kochała ją nieledwie, ponieważ on ją kochał.

— Hugonie — odezwała się po chwili — przyszedłeś, żeby ze mną pomówić, dla czegoż więc milczysz?

— Zkąd wiesz o tém? — zapytał zdumiony.

— Mały paluszek mi powiedział — odparła z uśmiechem — masz jakieś zmartwienie, prawda?

— To nie zmartwienie lecz obawa, która mię dręczy — rzekł patrząc w jęj oczy.

— Obawa dręczy cię od dnia 5-go października, czy tak?

Hugo pobladł.

— Kochasz Joannę Wharncliffe i obawiasz się, że nigdy jęj nie zobaczysz — mówiła dalej Marya.

— To prawda — przyznał zmienionym głosem.

Ręce Maryi tak drżały, że musiała położyć rękę, ale twarz jęj była zupełnie spokojna.

— Jakim sposobem odgadłaś moją tajemnicę? — zagadnął Hugo po chwili — jesteś chyba wróżką, skoro umiesz czytać w sercach.

— Spojrzałam tylko na ciebie i odrazu zasłona spadła z tajemnicy.

— Ach! Maryo, gdybyś mogła ją widzieć! Śliczna jak poranek majowy, niewinna jak dziecię a serce ma anioła.

— W tém wszystkiém nie widzę jeszcze powodu do obawy. Jesteście oboje młodzi, macie całe życie przed sobą, a miłość większe zwalczą przeszkody.

— Nie to mię przeraża. Przyrzeknij mi Maryo, że nikomu na świecie nie napomkniesz nawet o tém z czém się zwierzę przed tobą. Ty jedna możesz mi poradzić i dopomódz. Wyobraź sobie młodzieńca w następującém położeniu: ojciec jego każe mu szpiegować nieprzyjaciela rządu, ażeby potem świadczył przeciwko niemu; syn czuje, że jest to niegodne człowieka honorowego i w głębi duszy sprzyja przeciwniej stronie. Będąc młodym i niedoświadczonym, sam nie wie czy dobrze czyni. Powiedz mi, co ma począć?

Marya długo się namyślała, wreszcie zdobyła się na odpowiedź.

— Powinien iść za głosem swego sumienia — rzekła.

— A jeżeli sumienie się myli?

— To niemożliwe. Słuchaj go tylko, a powie ci zawsze, czy to co czynisz jest złém czy dobrém.

W téj chwili oznajmiono pułkownika Sydney; na jego widok Hugo zapomniał o troskach i kłopotach.

— Mam bilety na nową sztukę Drydena — rzekł Sydney — przyszedłem się zapytać, czy panie mi pozwolicie towarzyszyć wam do teatru?

— Będzie to dla nas wielka przyjemność — odparła Marya — właśnie stryjenka mówiła przy obiedzie, że radaby poznać tę nową sztukę.

— Poszedłbym z wami, ale nie mam czasu — odezwał się sir Wiliam, zbudzony ze snu przybyciem gościa.

— Rzadko bywam w teatrze, lecz mówią, że ta sztuka ma tendencją polityczną i to mnie zaciekawiło — mówił Sydney. — Dryden stał się narzędziem dworu, pisze co mu każą; szkoda, że człowiek takiego talentu poniża się własnowolnie.

— Tém więcej, że nic na tém nie zyskuje — wtrącił Hugo — słyszałem jak mówił wczoraj, że od wielu lat nie otrzymał pensyi należnej mu jako laureatowi.

— Tymczasem księżnie Portsmouth naród musi płacić rocznie 12,000 funtów st. — dodał Sydney — nie dziwnego, że to oburza uczciwych ludzi.

— Pójdiesz z nami do teatru, nieprawdaż młodzieńcze? — zapytał po chwili, zwracając się do Hugona.

Hugo skwapliwie przyjął zaproszenie, a kiedy wieczorem wszyscy czworo weszli do Drury Lane, piękne jego oblicze jaśniało radością. Marya wierzyła, że kiedyś zaślubi Joannę, Randolf obchodził się z nim teraz jak z przyjacielem, a Sydney, jego ideał, nie tylko zaprosił go do teatru, ale potem zabrał z sobą na wieczerzę.

Londyn posiadał dwie sceny: Drury Lane zwany Królewskim i teatr Książęcy na Dorset Gardens, którego dyrektorem był sławny aktor Betterton; stolica Anglii nie miała tyle ludności, żeby się dwa teatry utrzymać mogły, więc po długich rokowaniach zjednoczyły się wreszcie. Pierwszą sztuką, jaką miano wystawić połączonymi siłami, była „Gwizyusze” Drydena pełno w niej było przyczepek do księcia Monmouth i ostrych przeciw Wigom wycieczek. Budziła ogólne zaciekawienie i w dzień pierwszego przedstawienia sala teatru była przepelniona.

Już prolog niechętnie usposobił obecnych w sali stronników księcia Monmouth, a kiedy przy końcu dramatu Gwizyusz ginie zamordowany, król zaś chłodno wypowiada swoje życzenie, że taki los powinien spotkać wszystkich zdrajców, połowa widzów zaczęła gwizdać, połowa zaś klaskać zapamiętale. Wszczął się krzyk i zamieszanie, zewsząd posypały się pogroźki i obelgi, zdawało się, że rozjątrzeni słuchacze wezmą się w końcu do pięści.

Sydney odprowadził panie do powozu i ujawszy Hugona pod rękę, szedł z nim do domu, poprzedzany przez człowieka niosącego latarnię. Była to ostrożność konieczna w owych czasach, kiedy ulice Londynu nie były jeszcze oświetlone.

Zastali już stół nakryty do wieczerzy.

— Ducasse — rzekł Sydney do służącego francuza — połóż jeszcze jedno nakrycie, pan Wharcliffe będzie ze mną wieczerzał. Jest to mój wierny sługa i przyjaciel — dodał po wyjściu służącego — nie wiem, czy dalbym sobie radę bez niego.

— Wierny sługa to skarb — zauważył Hugo; — my także mamy u siebie jednego z żołnierzy Cromwela, który jest nam oddany ciałem i duszą. Od niego po raz pierwszy dowiedziałem się, kto jest pułkownik Sydney.

— Może służył w moim pułku? — zapytał Sydney.

— Nie zdaje mi się. Wspominał, że widział pułkownika pod Marston Moor.

— Kto wie, czy to nie będzie mój dzielny wybawca. Nie mówił ci nigdy, że ocalił mi życie?

— O tém nie wspominał; opowiadał tylko, jak walecznie biłeś się, pułkowniku, i pomimo ciężkiej rany nie chciałeś opuścić pola walki, choć ludzie jak kłosa padali obok ciebie.

— Nakoniec odnalazłem go! — zawołał Sydney — przysuń się bliżej do ognia młodzieńcze, opowiem ci co się stało pod Marston Moor: Byłem wtedy niewiele starszy od ciebie i miałem mało doświadczenia, ale słyszałem od wielu wytrawnych żołnierzy, że to była jedna z najkrwawszych bitew, jakie pamiętają. Zaczęła się wieczorem; zdawało się, że trwała całą wieczność, kiedy Cromwel przyszedł nam z pomocą; gdyby nie on byłibyśmy wszyscy zginęli. Pamiętam, że biłem się jeszcze pomimo rany jaką otrzymałem, ale wtém zostałem powtórnie raniony i spadłem z konia. Straciłem przytomność; kiedy ją odzyskałem, byłem w ręku wroga. Wtém z szeregów wybiegł jeden z żołnierzy Cromwela, pochwycił mię na ręce i uniósł w bezpieczne miejsce. Wzruszony jego odwagą i poświęceniem; chciałem się dowiedzieć jak się nazywa, żeby go wynagrodzić, ale on odpowiedział na to:

„Nie uczyniłem tego dla nagrody. Pozwól, niech zatają moje nazwisko”.

— I nigdy się nie dowiedziałeś pułkownika, kto to był?

— Wśród zamętu walki nikt go nie widział i nikt nie zauważył.

— Jeremiasz byłby zdolny do tego, ale nie mogę go badać.

— Tem lepiej. Niech pozostanie nieznanym, kiedy tak chce, choć nigdy mu tego nie zapomnę... Chodźmy na wieczerzę, jeżeli ta przeklęta sztuka nie odebrała ci apetytu.

— Wcale — odparł Hugo z uśmiechem — trzymam się dotąd neutralnie i niczyjéj sprawy nie biorę do serca.

— Nie będziesz mógł wiecznie pozostać na boku — poważnie zauważył Sydney — nadejdzie chwila, kiedy okoliczności cię zmuszą wziąć czynny udział w życiu i z widza przedzierzgnąć się w aktora.

— Chciałbym zadać ci pułkownikowi jedno pytanie — zaczął Hugo: — wiadomo, jakie są zamiary księcia Monmouth; czy sądzisz, że przyniosą one korzyść dla kraju?

— Nie radziłbym nikomu przyłączać się do stronnictwa księcia Monmouth, nie ma on w téj chwili żadnych widoków powodzenia. Co do mnie, wszystko mi jedno, kto będzie królem: Jakób książę Monmouth, czy Jakób książę York, byle tylko naród odzyskał swoje przywileje. Monmouth z tego względu może byłby lepszym, że prawa jego do korony są wątpliwe,

więc starałby się we własnym interesie dogodzić ogólowi.

— Znasz go, pułkownik?

— Widziałem go dwa razy tylko. Lord Howard powiedział mi, że książę pragnie mię poznać, jemu zaś mówił, że ja chcę mu być przedstawionym; ztąd wynikło pierwsze nasze spotkanie.

— Nie było to zbyt honorowe ze strony lorda Howard — zauważył Hugo.

— Zamiary miał uczciwe. Lord Howard kocha kraj i pragnie jego dobra.

— Zatem stronnictwo księcia nie jest dosyć silne?

— W téj chwili tylko, w przyszłości bowiem może się wzmocnić. Mówiąc z tobą otwarcie, daję ci wielki dowód zaufania; za wygłaszanie podobnych opinii mógłbym się znaleźć w więzieniu.

Siwe oczy Hugona, spokojne zazwyczaj i zadumane, błysnęły ogniem.

— Nie zawiodę cię pułkownik! — zawołał.

Tyle było szczerości i zapału w jego głosie, że kamienne wrzuciłyby serce. Surowe oblicze Sydneya złagodniało, oczy zasły łzami; pochwycił rękę młodzieńca i ściskając ją, rzekł z uśmiechem.

— Wierzę ci, mój synu.

IX.

Randolf ciekawie śledził Hugona i obchodził się z nim wiele łagodniej; nawet okazywał mu braterską życzliwość, za którą młodzian był mu nieskończenie

wdzięczny. Nigdy jeszcze nie czuł się tak szczęśliwym, jak téj zimy; miał większą niż dawniej swobodę, częściej bywał w towarzystwach, a charakter jego, pod wpływem obcowania z Sydneyem, szybko rozwijał się i dojrzewał. Został wprowadzony przez niego do klubu Green Ribbon, gdzie spotykał najznakomitszych wigów i obznajmiał się z życiem politycznym. Sydney po wyjeździe swego przyjaciela, Pen'na, do Ameryki, gdzie miał zaprowadzić ułożony przez nich obu system rządu, bardziej jeszcze przywiązał się do młodzieńca.

U Denhamów Hugo bywał częstym gościem; gawędził z Maryą, lub pomagał w laboratorium sir Williamowi. Mała księżna Grafton zapraszała go nieraz do domu swego ojca, Randolf zaś wymagał, żeby bywał na dworze od czasu do czasu. Dodawszy do tego nauki prawne, dnie młodzieńca były całkowicie, od rana do wieczora, zajęte.

Marya Denham, przeciwnie, cierpiała i usiłowała pracą zagłuszyć ból serca. Haftowała nowe pokrycie na meble do bawialni, widząc zaś, że to nie wystarcza do rozproszenia przykrych myśli, z wielkim zapałem wzięła się do nauki pod kierunkiem stryja. Obejście jój z Hugonem zmieniło się, nie było tak swobodne i serdeczne jak dawniej; może sama nie wiedziała o tém, ale on to spostrzegł i zafrasował się; nie przyszło mu na myśl, że rozmowa o Joannie Wharncliffe była przyczyną ochłodzenia stosunku.

Boże Narodzenie nadeszło i Hugo po raz pierwszy wziął udział w wielkim obiedzie prawników w Temple Hall. Śpiewano pieśni chórem, puhary nie próżnowały, w końcu zaczęto grać w kości. Wtedy

młodzieniec się wysunął, żeby pobiedz do swoich przyjaciół na Norfolk Street. Tam zastał wszystko po dawnemu: Marya w atlasowej sukni rozmawiała wesoło z kuzynkami, ale kiedy Hugo się zbliżył, aby złożyć jój życzenia, na twarzyczce dziewczęcia odbił się przymus i zakłopotanie. To go zmieszało. Czem ją obraził? Przyjaźń ich nie była już tak serdeczną jak dawniej; Hugo czuł to, ale nie wiedział komu przypisać winę: jój czy sobie.

Wśród świątecznego gwaru nie mógł znaleźć chwili stosownej, żeby porozmawiać z Maryą szczerze; unikała go widocznie i dopiero na balu maskowym w Gray's Jun zdarzyła mu się pożądana sposobność.

Przybył dość późno, na kilkanaście minut przed dworem, i wzrokiem pełnym uwielbienia objął wspianą salę z dębowym, rzeźbionym sufitem, z którego zwieszały się liczne żyrandole z woskowemi świecami. Wszędzie iskrzyły się klejnoty, błyszczały przepyszne stroje pań i mężczyzn, mieniły się różnobarwne atłasy, aksamity i złotogłowa. Jednej tylko ozdoby brakowało na tym balu: pięknych twarzy niewieścich, wszystkie bowiem kryły się pod czarnemi maskami.

Zaledwie Hugo zdążył rozejrzeć się po sali, oznajmiono przybycie dworu i całe towarzystwo powstało, żeby się skłonić przed monarchą, który wszedł wraz z królową. Za nim postępował księżę York z księżną; wszyscy byli zamaskowani, ale mimo to można było ich poznać.

Zaraz dano znak do tańca, królowa bowiem bardzo lubiła tę zabawę, choć należała do najgorszych taneczek. Król właśnie zaprosił jedną z dam do *coranto*

i Hugo mógł swobodnie upatrywać w tłumie Maryi Denham. Pod osłoną maski, łatwiej im przyjdzie porozumieć się, do dawniej wrócić zażyłości. Daremnie jednak szukał w tłumie drobnej i szczupłej postaci, ciemnych kędziorów i czarnych źrenic Maryi, nigdzie nie mógł jej znaleźć.

— Za kim gonisz, piękny kawalerze? — zabrzmiał tuż przy nim głosik dziewczęcy i para figlarnych, śmiejących się oczą błysnęła z poza maski.

Hugo odrazu poznał małą księżną Grafton. Ucieszył się bardzo; ta niewinna, szlachetna istota, która w tak młodym wieku tyle romantycznych przeszła kolei, miała dla niego dziwny urok.

— Mogę prosić o zaszczyt przetańczenia z tobą, księżno? — zapytał.

— Poznałeś mię pan! — rozśmiała się — a ja sądziłam, że jestem doskonale przebrana... Owszem, chętnie będę tańczyła z panem i wspólnie poszukamy osoby, której tak pilnie upatrujesz.

— Szukam Maryi Denham, ale niełatwo w tłumie masek znaleźć najlepszych nawet znajomych.

— A jednak niedawno śpiewałeś pan pieśń, w której powtarzały się wyrazy: „Miłość jest jasnowidząca” — przekomarzała się księżna.

Wyobrażała sobie, że Marya i Hugo są zakochani wzajem i pragnęła doprowadzić do skutku ich małżeństwo.

— Miss Denham jest moją przyjaciółką niemal od lat dziecińczych — odparł rumieniąc się młodzian — przyjaźń nie daje mocy jasnowidzenia jak miłość.

Księżna uczuła się rozczarowaną. Odgadła dawno, że Hugo jest zakochany, ale teraz dopiero się przekonała, że nie w Maryi.

— Mężczyźni nie mają takiego daru spostrzegawczego jak kobiety — rzekła. — Co do mnie, poznałam odrazu Maryą Denham.

— Po czém?

— Po nóżkach; ma najpiękniejsze i najmniejsze nóżki w całej sali. Teraz szukaj pan.

— Jaką ma suknię? — dopytywał Hugo.

— Białą atlasową i perły na szyi.

— Widzę ją! — zawołał.

Tańczyła właśnie *coranto* z dawnym jego kolegą, Mateuszem Prior. Byłby zaraz do niej pospieszył, ale musiał przetańczyć z księżną i dopiero odprowadziwszy ją na miejsce, mógł się zbliżyć do Maryi. Siedziała obok stryjenki i śledziła każdy ruch wysmukłej, młodzieńczej postaci, przybranej w karmazynowy aksamit, haftowany srebrem. Nikt nie tańczył tak pięknie jak on i nie miał tyle wdzięku.

Marya czuła, że między nią a Hugonem powstała nieprzebyta zaporą, a jednak rada była kiedy ją zaprosił do tańca i skorzystał z pierwszej sposobności, żeby z nią pomówić otwarcie.

— Maryo — zaczął — co zaszło między nami? Przypuszczałem, że przyjaźń nasza jest zbyt dawną i silną, a żeby mogła kiedy ostygnąć.

— Zapominasz, że nie jesteśmy dziećmi; stosunek nasz nie może być takim jak dawniej — odparła niepewnym głosem.

— Więc dawna swoboda i otwartość ma ustąpić miejsca sztywnej etykiecie?

— Nigdy nie jestem z tobą nieszczerą; ale ty jesteś mężczyzną, bywasz w świecie, masz inne stosunki, nie możesz więc być dla mnie tém, czém dawniej byłeś.

— Nie mogą być twoim przyjacielem? — z żalem zawołał Hugo.

— Nie miałam tego na myśli! — podchwyciła żywo — przyjaźń nasza nie osłabła tylko pozór jój się zmienił.

— O nie, czuję, że jesteś inną. Dawniej wchodziłem do waszego domu pewny, że znajdę przyjaciółkę, siostrę; teraz wchodzę z obawą, z niepokojem, bo widzę, że mię unikasz, że gniewasz się na mnie. Czy ja zasłużyłem na to?

— Przebacz mi, Hugonie! — rzekła wzruszona — źle postąpiłam z tobą. Wymówki twoje są zupełnie słuszne: zmieniłam się istotnie dla ciebie.

— Co uczyniłem złego? Czyżby jaki potwarca...

— Nikt nie rzucił na ciebie potwarzy, to moja wina wyłącznie. Myślałam, że nic dla ciebie nie znaczę; że ten kto ma ukochaną, nie dba już o siostrę. Bo byłam siostrą dla ciebie, nieprawdaż? Na co ci przyjaźń, kiedy kochasz?

— Jak mogłaś tak myśleć — zawołał Hugo. — Nigdy bardziej nie potrzebowałam przyjaźni niż teraz! Gdybyś wiedziała, jak pokrzepiłaś i rozradowałaś moje serce tego dnia, kiedyś mi powiedziała, że moje małżeństwo z Joanną nie należy do mrzonek, że może przyjść do skutku!

Drobne paluszki Maryi kuczowo ścisnęły wachlarz; milczała, tylko jój serce uderzało przyspieszonym tętnem.

— Oszczędź mi zmartwienia — błagał Hugo — bądź zawsze moją przyjaciółką. Czemże byłoby życie moje, gdyby nie ty?

— Nie chcę, żebyś miał być nieszczęśliwym przezemnie — rzekła Marya drżącym głosem. — Będę znów dla ciebie siostrą i przyjaciółką, na którą zawsze możesz rachować. Jesteś zadowolony?

Czegóż więcej mógł żądać? Ona wiedziała, że temi słowami wydała wyrok na siebie, ale dla jego szczęścia gotowa była poświęcić siebie. Słodką była dla niej myśl, że on czuł się nieszczęśliwym bez jój przyjaźni, że miała wpływ i władzę nad nim.

X.

W piękny poranek kwietniowy pułkownik Sydney spotkał w parku Hugona.

— Myślałem właśnie o tobie! — zawołał — jadę jutro do Penshurst na dwa tygodnie i chciałbym zabrać cię z sobą. Nam obu należy się wytchnienie.

— Sprawiloby mi to wielką przyjemność — odparł uradowany młodzieniec — i jeżeli mój brat pozwoli, przyjadę z pewnością.

— Zapomniałem o twoim opiekunie. Staraj się uzyskać jego pozwolenie, bo radbym cię mieć przy sobie. Jemu chyba tak bardzo nie idzie o dworską

karyerę dla ciebie, bo inaczej nie pozwolilby ci bywać u mnie.

Spojrzał ze wzgardą w stronę stawu, gdzie król karmił właśnie ulubione kaczki i skinąwszy uprzejmie głową młodemu przyjacielowi, poszedł w stronę przeciwną.

Ku wielkiemu zdziwieniu Hugona, Randolf pozwolił mu jechać do Penshurst. Młodzieniec był w siódmym niebie; nazajutrz puścił się w drogę wraz Sydneyem, nie przypuszczając nawet, jak ciężkie chwile gotuje mu przyszłość.

Wiosna odświeżenie przystroiła pola i ogrody, napełniała powietrze balsamiczną wonią ziół i kwiatów. Starożytny zamek Penshurst tonął w morzu zieleni, oblany złotymi blaskami zachodzącego słońca, a zachwycony Hugo nie mógł się dosyć nacieszyć pięknnością okolicy i urokiem pogodnego dnia wiosennego. Lorda Leicester nie było w domu, obaj goście byli bardzo radzi. Bracia różnili się pod względem przekonań i stosunki między nimi były bardzo chłodne.

Zmieniwszy ubranie, zasiedli do wieczerzy, zastawionej w galeryi obrazów, a potem Sydney oprowadził gościa po całym domu.

— Trzeba, żebyś poznał wszystkie jego zakątki, gdyż łatwo mógłbyś zabłądzić w tym labiryncie komnat, sal, galeryj i korytarzów—rzekł z uśmiechem.

— Pułkownik musisz je znać doskonale? — zauważył Hugo.

— Mógłbym chodzić po nich z zamkniętymi oczyma. Ileż to razy na wygnaniu wspominałem nasz stary dom i tęskniłem do niego. Smutno w nim teraz i pusto; niema dzieci, któreby go napełniały gwarem i śmiechem. W tym wielkim przedśionku rodzice moi wydawali corocznie wielki obiad w dzień Bożego Narodzenia; wszystkie dzieci siadały wtedy do stołu, a po skończonej uczcie śpiewaliśmy pieśni. Mój Boże! ileż zmian zaszło od tego czasu! Rodzice w grobie, a z rodzeństwa ani jedno nie jest ze mną na stopie serdecznej. Henryk umarł, Filip jest mi niemal obcym, Robert przedzierzgnął się w dworaka, Dorota, słynna niegdyś piękność, daleko a Izabella, dla której wiele robiłem dobrego, odplaciła mi niewdzięcznością...

Zdawało się, że zapomniał o obecności Hugona i rozmawia sam z sobą.

— Możesz sobie wyobrazić, jak wspaniale wyglądał ten przedśionek ustrojony zielenią, oświetlony woskowymi świecami, których blask odbijał się w starożytnych hełmach i pancerzach—mówił po chwili.— Na galeryi przygrywała muzyka a tam, pod arkadami, dawaliśmy czasem przedstawienia teatralne.

Krętymi schodami poprowadził Hugona na górę do komnaty, gdzie wskazał mu portret pięknego mężczyzny, o łagodnym, choć poważnym, obliczu.]

— To nasz pradziad, sir Filip Sydney, mój ideał—rzekł; — nieraz zazdrościłem bratu, że nosi to samo imię.

Obok tego wizerunku wisiał portret mężczyzny, o smutnych oczach i surowym, myślącym obliczu, na którym troska wycisnęła posępne swoje piętno. Obraz

był malowany kilkanaście lat temu, mimo to Hugo poznał od razu kogo wyobraża.

— A oto mój ideał! — zawołał — wolę go niż wszystkie inne.

Rzewny uśmiech przemknął po surowej twarzy Sydneya.

— Wiesz dlaczego? — rzekł — bo przeciwieństwa zawsze pociągają nas ku sobie. Sir Filip Sydney był szczęśliwym człowiekiem, wiodło mu się w życiu, kochano go i szanowano ogólnie, zapewne z tego powodu ja, co tyle zgryzot przeszedłem, czułem do niego taki pociąg... Patrz, w tej komnacie mieszkała królowa Elżbieta.

Zkolei przeszli do galeryi obrazów. Ściany były tu wyłożone rzeźbionymi lamperyami, posadzka mozaikowa, na stołach porozstawiano wazony z chińskiej porcelany i różne osobliwe drobiazgi. Przez wielkie weneckie okna wpadały ostatnie blaski zachodu i oświecały cenne obrazy, porozwieszane na ścianach.

Zasiedli obaj przy oknie i wpatrywali się w cieniasty ogród, gdzie, wśród zieleniejących trawników i klombów, wiły się zwirowane ścieżki.

— Jesteś zadowolony z życia jakie prowadzisz? — zapytał nagle Sydney. — Czujesz się szczęśliwym?

— O tak! — odparł Hugo — ten rok był dla mnie bardzo pomyślny.

Sydney stłumił westchnienie i nie badał więcej. Odpowiedź młodzieńca nie zdziwiła go; nie skosztował jeszcze goryczy życia; nie zaznał trosk i zawodów, które posępny cień rzucają na przeszłość. Niestety!

zbudzi on się niebawem z tego uludnego snu i będzie musiał stawić czoło burzom, które rozszożą się nad jego głową.

Całe dni spędzali razem na rozmowach, czytaniu i przechadzce. Sydney poprawiał rękopis dzieła napisanego kilka lat temu i nieraz zasięgał zdania Hugona, lub czytał mu niektóre ustępy. Nadszedł maj, Penshurst zajaśniało całym urokiem wiosny. Wspaniałe buki roztaczały nad głowami cieniste, szmaragdowe sklepienia, dęby rozwijały młode listeczki, klony szumiały łagodnie. Ciszę przerywał śpiew słowika, plusk łabędzi na jeziorze i szelest sarn, przemyskających się w gęstwinach parku.

Ileokroć pogoda pozwalała, obaj przyjaciele wychodzili do ogrodu; Hugo rozłożywszy się na murawie, czytał rękopis „Uwag o rządzie”, o których tyle później mówiono, Sydney wsparty o drzewo, trzymał w rękę „Rzeczpospolitą” Platona i zadumanym wzrokiem wodził po krajobrazie, skąpanym w promieniach wiosennego słońca.

Kilkanaście dni spędzonych w Penshurst bardzo korzystnie wpłynęło na Hugona, rozwinęło w nim poczucie piękna i zamiłowanie swobody. Trzymany od dziecka pod despotycznym jarzmem brata, nie zaznał nigdy wolności i tym więcej rozkoszował się nią teraz.

Skończył właśnie czytanie rękopisu, spojrzął z uwielbieniem na autora, który tak głębokie i trafne wyrażał zdania nad rozmaitemi formami rządu.

— Przeczytałeś już wszystko, młodzieńcze? — z uśmiechem zagadnął Sydney — nie przeraża cię myśl, że jesteś gościem człowieka, który objawia tak śmiało

przekonania? Zastanów się, lepiej zerwać wszelkie stosunki z tym, którego nazywają zdrajcą.

— Pułkownik! — odparł z wymówką Hugo — nawet żartem nie godzi się mówić słów takich.

— To prawda. Myśl tak chłodna i roztropna nie mogłaby nigdy zagościć w twojem gorącym, szlachetném sercu. Ale moim obowiązkiem jest ostrzedz cię, młodzieńcze, że przyjaźń ze mną naraża cię na wielkie niebezpieczeństwo.

— Chętnie stawię mu czoło. Ty robisz dla mnie tak wiele, pułkowniku, że byłbym szczęśliwy, gdybym mógł cierpieć za ciebie.

Sydney tkliwie spojrział na młodzieńca, który mu tyle okazywał przywiązania.

— W téj chwili nie widzę, jeszcze powodu do obawy — rzekł poważnie — stronnictwo wigów może być przesładowane, zwłaszcza jeżeli Monmouth będzie wicherzył nadal. Mojem zdaniem, dobrzy patryoci powinni zachowywać się spokojnie i przygotowywać naród do przyszłych wyborów. Nic mię więcéj nie oburza, jak służalczość i schlebienie królowi, kiedy kraj jęczy pod jarzmem Stuartów. Czy przypominasz sobie wiersze na bankiecie u lorda-majora, w których wysławiano króla jako wzór wszelkich cnót i zalet?

Hugo roześmiał się mimowoli.

— Nie czuję żadnej zawziętości do króla — odrzekł — ale to zakrawało na urągawisko.

— Nie dziw się zatém, że marzę o tych czasach, kiedy służalczość i pochlebstwo nie będą miały komu dworować. Nie tak dawno jeszcze, w tém samym

miejsu, układałem, wraz z moim przyjacielem Wilia-mem Penn, prawa dla kolonii, które on zakłada za morzami. Często przy téj pracy serce ścisnęło mi się z żalu na myśl, że obcy kraj będzie korzystał ze swobód, kiedy mój rodzinny ich nie posiada.

— Powiedz mi, pułkowniku, jakie są główne zasady konstytucyi, którą ułożyliście dla amerykańskich kolonii?

— Będą mieli dwie izby prawodawcze, złożone z członków obieranych przez głosowanie; swoboda wyznania jest zapewniona w najszerszem znaczeniu tego słowa; kara śmierci będzie stosowana tylko za morderstwo i zdradę kraju; wszystkie dzieci muszą obowiązkowo uczęszczać do szkół publicznych; leni-stwo będzie karane jako występki; więzienia zostaną zamienione na szkoły. Oto masz zarys ogólny programu konstytucyjnego.

— Ależ to prawdziwa utopia! — zawołał Hugo zdumiony.

— Utopia, powiadasz? — marszcząc brwi powtó-rzył Sydney. — Ha! zobaczymy, czy nie się w rzeczy-wistość nie zmieni...

Hugo, wychowany w innych przekonaniach, nie mógł się pogodzić z poglądami Sydneya na formę rzą-du, chociaż czuł, że w Anglii źle się dzieje. Kiedy rozmyślał nad tém, z poza drzew wyszedł Ducasse, i wręczył mu list z Londynu, od Randolfa, który go wzywał do natychmiastowego powrotu. W milczeniu podał pismo pułkownikowi, a po jego twarzy znać było, jak przykrém mu jest niespodziewane wezwanie. Bolało go też, że brat nie wyjaśnił mu powodu, dla

którego powoływał go do Londynu; był w tym wieku, że nie należało postępować z nim jak z żakiem.

— Musisz jechać? — z żalem zapytał Sydney.

— I to niezwłocznie — odparł Hugo.

Sydney milczał, ale przeczuwał co się działo w duszy młodzieńca; on sam niegdyś wiele cierpiał w skutek despotyzmu ojca, choć miał hartowniejszą duszę niż Hugo.

— Synu mój — rzekł po chwili — zdaje mi się, że poznałem cię do głębi i dlatego pragnę udzielić ci przestrogi. Nadejdzie chwila, kiedy między twoim bratem a tobą objawi się różnica przekonań; bądź przygotowany na to i niechaj ci sił nie zabraknie, kiedy czas walki nadejdzie.

Hugo posmutniał; sama myśl o nieporozumieniu między nim a bratem była dla niego nad wyraz przykłą. Posłuszny wezwaniu, chciał jechać natychmiast, pomimo nalegań Sydneya, żeby został na obiad. Czekał na konia, którego już siodłano, przechadzali się po cienistej alei lipowej, zwaną aleją „Sacharissy” od pięknej siostry Sydneya, Doroty, unieśmiertelnionej przez Wallera. Hugo nie spuszczał oczu z poważnej i surowej, a tak sympatycznej dla niego, twarzy Sydneya.

— Pułkowniku — rzekł wreszcie — nie jestem tchórzem, a jednak myśl o różnicy przekonań między mną a bratem przejmuję mię trwogą.

— Nie dziwię ci się wcale — odpowiedział Sydney — wiem jaka to będzie boleść dla ciebie i dlatego właśnie chcę cię przygotować na to, co jest nieuniknionem. Nie lękaj się cierpienia, mój synu, nie lękaj wal-

ki; dwóch rzeczy tylko powinienes się obawiać: grzechu i wstydu.

Hugonowi nagle przyszła na myśl owa noc spędzona na podsłuchiwanu w Mondishall.

— Nieraz pewno byłeś w tém położeniu, pułkowniku — odezwał się — że głos sumienia wzbraniał ci uczynić to, co nakazywał obowiązek. Powiedz, jak postąpiłeś wtedy?

— Szedłem tam, gdzie nakazywało mi iść sumienie, bez względu na skutki jakie to mogło pociągnąć za sobą — odparł Sydney; — jeżeli zblądziłem, Bóg mię sądzić będzie.

W téj chwili zbliżył się do nich służący z oznajmieniem, że koń już osiodłany.

— Weź tę książkę na pamiątkę twojej bytności w Penshurst — rzekł Sydney, dając mu tomik który trzymał w ręku.

Była to „Rzeczpospolita” Platona.

Hugo już dosiadł konia, ale nagle zeskoczył z niego i wrócił do Sydneya stojącego w bramie.

— Zapomniałeś czego? — zapytał Sydney.

— Nie — odparł młodzieniec, raz jeszcze ujmując jego rękę — przebac mi, panie i nie uważaj za tchórze, ale mam przecucie nieszczęścia i nie mogę otrząsnąć się z niego.

— Jesteś zbyt wrażliwy i uczuciowy na ciężkie czasy w jakich żyjemy — uspakajał go Sydney — bądź mężnym i nie zapominaj naszego hasła: „*Sanctus amor patriae dat animum.*” Żegnaj cię mój synu, do widzenia w Londynie.

Ostatnie słowa przyjaciela zabrzmiały w uszach młodzieńca jak dzwon pogrzebowy. Siłą woli otrząsnął się z przygnębienia i, obróciwszy głowę, spojrzął po raz ostatni na starożytny zamek, wznoszący się na tle zieleni, na sklepioną bramę, w której stała wciąż poważna postać pułkownika.

XI.

Słońce zachodziło kiedy Hugo wjeżdżał do Londynu. Znużony szybką podróżą i upałem, zmartwiony rozstaniem z Sydneyem, przygasłym wzrokiem rozglądał się w około i nawet widok ulubionego opactwa Westminster nie zdołał go pocieszyć. Na Strandzie i Charing Cross, przez które przejeżdżał, krążyli przechodnie, panował ruch i gwar, na który składały się nawoływania przekupniów, zachwalających swoje towary, muzyka i śpiewy wędrownych artystów, okrzyki i przekleństwa woźniców.

Młodzieniec z trudnością dobił się do domu, gdzie zastał tylko Jeremiasza.

— Cieszę się, żeś wrócił — rzekł stary sługa — wieś ci posłużyła, bardzo dobrze wyglądasz.

— Powiedz mi, co to wszystko znaczy, Jerry? — zagadnął Hugo — dlaczego brat mię wezwał?

— Nie wiem. Był niezdrów w tych dniach i może dlatego chciał się widzieć z tobą.

— Randolf chorował! W takim razie jestem rad że kazał mi wracać. Czy nie wiesz, gdziebym mógł go spotkać?

— Kazał ci powiedzieć, że będzie o ósmej w kawiarni Willa.

— Idę tam zaraz, może go zastanę.

Wyszedłszy z cichej dzielnicy Temple, dostał się znów na gwarny i ruchliwy Strand. Na północnej jego stronie ciągnęły się domy i sklepy, południową zajmowały pałace, otoczone ogrodami, zniżającemi się ku rzece. Na placu stały rzędem powozy do najęcia, w środku zaś wznosił się olbrzymi maszt, przystrojony chorągwiami.

Kawiarnia Willa znajdowała się na Drury Lane, niedaleko Coront Garden. Zbierali się w niej głównie artyści, ażeby pogawędzić o bieżących wypadkach. Była to istna kuźnia plotek i dowcipów, źródło wiadomości i nowin wszelkiego rodzaju. Kiedy Hugo wszedł do głównej sali, zastał pełno gości: jedni pili, inni przeglądali dzienniki, palili lub rozmawiali. Młodzieniec daremnie upatrywał wśród tłumu Randolfa, kiedy wtem spostrzegł dawnego kolegę, Mateusza Prior, który powitał go serdecznym uściskiem dłoni.

— Szukasz starego Drydena? — zapytał — był tu przed chwilą.

— Nie o niego mi chodzi — odrzekł Hugo; — nie widziałeś mego brata?

— Jest na balkonie.

Randolf był tam istotnie, rozmawiał z Drydenem i sławnym aktorem Bettertonem. Ucieszył się na widok brata i powitał go łaskawie.

— Jak to dobrze, żeś przyszedł, młodzieńcze — rzekł Dryden — zaśpiewasz nam pieśń majową.

Ale Betterton który bardzo lubił Hugona, zauważył odrazu, że jest głodny i znużony, sprzeciwił się więc życzeniu starego poety.

— Pozwólcie mu zjeść przedtém wieczerzę — rzekł — chodź, młodzieńcze, razem zasiądziemy do stołu.

Po wieczerzy, Hugo wziął lutnię i tak uroczco zaśpiewał pieśń majową, że sala zatrzęsa się od oklasków. Chciano żeby śpiewał więcej, ale Randolf zabrał go z sobą do domu. Bracia szli w milczeniu przez opustoszone ulice; Hugo byłby rad się dowiedzieć, po co został odwołany z Penshurst, ale nie śmiał się pytać. Kiedy dochodzili do Temple, Randolf odezwał się.

— Mam ci coś powiedzieć; pójdźmy do ogrodu.

— Jeremiasz wspominał, że byłeś niezdrów — zaczął Hugo.

— Dlatego głównie posłałem po ciebie. Ale jest jeszcze inna przyczyna: sir Peregrine Blake pisał do mnie i, łaskawie puszczając w niepamięć wszystko co zaszło, prosi nas obu na uroczysty obchód dojrzenia do pełnoletności najstarszego syna.

Hugo słysząc to, nie mógł ukryć żalu i niezadowolonia. Na to więc wyrwano go z rozkosznego zacisza wiejskiego, żeby zawieźć do domu człowieka, którego nie lubił.

— Niedawny nasz pojedynek usprawiedliwi moją nieobecność — zaczął — wcale bowiem nie życzę sobie...

Randolf przerwał mu surowo:

— Kto się pyta o twoje życzenia?

— Jednakże...

— Ani słowa więcej! Jutro w południe masz być gotów do drogi.

Odszedł, a Hugo długo jeszcze przechadzał się po ogrodzie, walcząc ze złowrogiem przecuciem, które go trapiło od wyjazdu z Penshurst. Rzeka łagodnie szumiała wśród zielonych wybrzeży, na niebie świeciły gwiazd miliony, orzeźwiający powiew wiatru niósł z sobą woń bżów i fijołków, ale młodzieniec był nieczuły tego dnia na powaby przyrody, myślał o radach i przestroгах Sydneya. Noc nie przyniosła mu ukojenia; śniło mu się, że został oplątany siecią, w której szamotał się daremnie, nie mogąc się z niej wydobyć. Zbudził się na głos strażnika, wołającego: „Czwarta godzina! Poranek jest piękny!” i zerwał się z łóżka z uczuciem prawdziwej ulgi. Bogu dzięki! nie czuł już sieci, która go dusiła, był wolny, oddychał świeżem powietrzem, widział przez okno nocnego strażnika z latarnią w jednej a halabardą w drugiej ręce. Czwarta godzina! O dwunastej ma się puścić w niemłą podróż.

XII.

Randolf w drodze był doskonale usposobiony; wypytywał brata o Penshurst i o Sydneya, a chociaż Hugo nie wspominał o politycznych przekonaniach pułkownika, Randolf odgadł, że jest we wszystko wtajemniczony. Zadowolony z tego odkrycia, tyle mu

okazywał serdeczności, że młodzieniec zapomniał o przecuciach i przejęty wdzięcznością dla brata, gotów był dla niego wszelkie ponieść ofiary.

Nazajutrz w południe stanęli w Longbride Hall. Sir Peregrine, już zdrów zupełnie, przyjmował Hugona z wielkimi względami, co chwila napomykając o pojedynku. O przyczynie zajścia, pannie Joannie Wharncliffe, nikt nie wspomniał i w ogóle nie było mowy o Mondishall. Raz tylko, kiedy najstarszy syn sir Peregrina pojechał z młodszymi gośćmi na jarmark do St. Edmonsbury, zdawało się Hugonowi, że spostrzega wśród tłumu różową twarzyczkę i złote włosy Joanny. Przypuszczał, że to było złudzenie, gdyż chociaż wyteżał wzrok, nie ujrzał jej powtórnie.

W Longbride Hall obchodzono wspaniale pierwszą rocznicę urodzin młodego dziedzica, który w tym dniu dobiegł do pełnoletności. Czas upływał szybko na polowaniu, łowieniu ryb, przejażdżkach, grze w kręgle, tańcach i przedstawieniach teatralnych. Hugo bawił się doskonale i całą swobodą korzystał z wiejskich rozrywek. Wesolość panująca w domu sir Peregrina oddziaływała i na niego, ani się spostrzegł kiedy dziesięć dni minęło jak jedna chwila. Randolph obchodził się z nim bardzo łaskawie, nie taił się z tém, że schlebiamy mu pochwały oddawane urodzie i talentom brata.

Pewnego razu, po obiedzie, kiedy kapelan odmówił modlitwę dziękczynną, Randolph pochylił się ku lady Blake i rzekł do niej kilka słów półgłosem. Hugo dosłyszał jeden tylko wyraz: „zakład”, i ze zdziwieniem zauważył, że brat się żegna z panią domu.

— Życzę wam szczęścia w wyprawie! — zawołał sir Peregrine, który przebrał już miarkę w libacyach — wypijemy za wasze powodzenie.

Zakład! Wyprawa! Powodzenie! Co to wszystko mogło znaczyć?

Zanim Hugo zdołał ochłonąć ze zdumienia, Randolph skinął na niego, wzywając, iżby szedł na górę. W pokoju leżały na łóżku dwa fantastyczne ubiory, noszone zwykle przez wędrownych lutnistów.

— Wdzięć na siebie tę odzież i spiesz się — rzekł krótko Randolph.

Hugo usłuchał choć niechętnie. Przypuszczał, że może idzie o jaką maskaradę i nie mógł wstrzymać się od śmiechu na widok Randolpha bez peruki, przebranego w strój wędrownego grajka. Zato starszy brat nie był zupełnie zadowolony z wyglądu młodzieńca, gdyż potrząsnął niechętnie głową i kazał mu usiąść na krześle. Zanim Hugo zdołał pojąć co się z nim dzieje, uczuł na szyi chłodne dotknięcie nożyc i za chwilę jedwabiste jego pukle spadły na ziemię.

— Zadaleko posuwasz żarty, bracie — zawołał, zrywając się. — To przebranie drogo mnie kosztować będzie.

W głosie jego dzwięczało oburzenie, Randolph uznał za stosowne wytłumaczyć się.

— Nie gniewaj się — rzekł — nie byłbym tego uczynił bez koniecznej potrzeby. Masz oto pięćdziesiąt gwinei w zamian za swoje kędziory; po powrocie do Londynu Denham zaprowadzi cię do dworskiego fryzjera, gdzie każesz sobie zrobić najpiękniejszą perukę która ci zastąpi obcięte włosy.

Hugo machinalnie wziął złoto, ale nie mógł ukryć żalu nad stratą swoich pięknych splotów.

— Proszę cię, zaufaj mi — rzekł Randolf — to jedno tylko mogę ci powiedzieć, że uczyniłem zakład poważny a nie mogę go wygrać bez ciebie. Jeżeli nam się uda, i ty wiele na tém skorzystasz.

— Ale... — zaczął Hugo.

— Żadnego „ale” — stanowczo przerwał Randolf. — Rób co ci każę.

— Wstrętne są dla mnie wszelkie zamysły tajemne! — zawołał Hugo tknięty złém przeczuciem.

— Mało mię to obchodzi — chłodno odparł Randolf — musisz mi być posłusznym. Ani słowa więcej, chodź ze mną.

Zeszli bocznymi schodami i niepostrzeżenie dostali się do bramy, gdzie na nich czekały osiodłane konie.

— Pamiętaj, że jesteśmy niemieckimi mintrelami i musimy rozmawiać w tym języku.

Hugo pomyślał o swoim pradziadku, dzielnym hrabi Hugonie i wdrygnął się mimowoli.

— Nie bierz tego do serca, chłopcze — rzekł Randolf. — Denham cieszyłby się z tój maskarady, a ty przybierasz minę pogrzebową. Bądź rozsądnym i zaufaj mi.

Słowa te uspokoiły nieco młodzieńca. Rozpogodził się i zaczął sobie przypominać różne pieśni niemieckie. Kilka lat temu byli obaj w Niemczech, u krewnych, i znali dobrze ten język.

Zatrzymali się przed odosobnioną gospodą i, zsiadłszy z koni, weszli do izby. Zastali tam starego

skrzypka z St. Edmonsbury, który uprzedzony przez sir Peregrina, że tu idzie o zakład, przyniósł ze sobą skrzypce, wiołę dla Randolfa i lutnię dla Hugona. Miał im towarzyszyć w wyprawie, przyrzekając najściślejszą tajemnicę.

Napiwszy się piwa, wszyscy trzej wyszli z gospody, z przewieszonymi przez ramiona instrumentami, i pieszo puścili się w drogę. Dokąd? tego Hugo odgadnąć nie umiał.

Nagle przemknęła mu przez głowę myśl: czy Mondisfield nie jest celem tój tajemniczej wyprawy. Dreszcz zimny go przeszedł na to przypuszczenie, ale po chwili zastanowienia uznał, że to niepodobna. Cóżby mieli do czynienia wędrowni muzykanci w tym purytańskim domu? Starał się rozpoznać okolicę, oglądał się, czy nie ujrzy wysokiej wieży kościołka w Mondisfield ale w około rozciągały się pola i łąki, które żadnych cech szczególnych nie posiadały.

— Weź tę wiołę — rzekł Randolf, obracając się ku niemu — jest bardzo ciężka.

Hugo był zmęczony i rozdrażniony, zapytał więc niechętnie.

— Dokąd idziemy?

— Do zamku, w którym nasz towarzysz, Piotr, bywa corocznie — weselo odparł Randolf — tam również obchodzą dojscie do pełnoletności jednego z członków rodziny i wyprawiają bankiet dla dzierzawców. Cóż u licha! chłopcze, nie prowadzę cię na ścięcie; rozchmurz więc czoło i nie patrz na mnie tak posępnie.

— A jeżeli tam nas poznają?

— To być nie może! Zresztą w tej maskaradzie nie ma nic zdrożnego. Niedawno przecież księżna Cleveland przebrała się za handlarke pomarańcz i przyszła do Temple. Nawet królowa ma zwyczaj przebierać się w odzież wieśniaczą i niepostrzeżenie mieszać się w tłum jarmarczny. Gdyby nas mieli poznać z twojej winy, nigdybym ci tego nie przebaczył — dodał groźnie — ale jestem pewny, że wszystko dobrze pójdzie. Udawaj tylko, że nie umiesz po angielsku, a nikt się nie do myśli kto jesteśmy.

Nakoniec dostali się do parku i na końcu alei dębowej ujrzeli trzypiętrowy zamek z wieżyczkami.

Piotr zapukał do drzwi, które po chwili otworzyła służąca.

— Ach! muzykanci z St. Edmonsbury! — zawołała uradowana — będziecie dziś mieli dużo do roboty. Widzę, ojczu Piotrze, że przyprowadziłeś z sobą kolegów.

— Tak, dwóch Niemców z za morza — odrzekł Piotr — potrafią oni grać i śpiewać przedziwnie.

— Oni z za morza przychodzą! — zawołała dziewczyna. — Może napijecie się piwa? — zapytała, zwracając się do Hugona, którego piękna twarz zwróciła jej uwagę.

Hugo zarumienił się i wypowiedział kilka słów po niemiecku.

— Jak on dziwnie gada! — rozśmiała się.

— Nie zna naszego języka — objaśnił Piotr — ale nie pogardzi waszemu piwem, panienko. Tymczasem chodźmy na górę, bo i tak późno przybywamy.

Po stromych schodach dostali się na galeryę, przeznaczoną dla muzyki. Niżej, w przedsiönku, siedzieli dzierżawcy, przy stołach zastawionych jadłem i napojami, a na rumianych ich policzkach malowało się zadowolenie. Hugo nie śmiał spojrzeć na dół i, nastroiwszy lutnię, wtorował staremu Piotrowi, który wygrywał skoczne melode. Dopiero kiedy Randolph kazał mu zaśpiewać, Hugo powstał, i zbliżywszy się do balustrady, objął wzrokiem tłum zebrany w przedsiönku. Śpiewał ludową pieśń niemiecką, z trudnością wstrzymując się od śmiechu, na widok zdumienia wieśniaków, którzy po raz pierwszy słyszeli obcą im mowę. Kończąc pieśń, spojrział przypadkiem na drzwi, prowadzące do komnat zamkowych; zebrała się przy nich gromadka dziewcząt, świętecznie przybranych, a wśród niej poznał uroczą Joannę Wharncliffe.

Stała wyprostowana, w nową, błękitną sukienkę, od której ślicznie odbijały złociste jej włosy i różniane liczko. Młodzieniec zdrętwiał na ten widok. W jakim celu Randolph sprowadził go do tego domu? To było Mondishall, teraz nie wątpił o tém; nie poznał miejscowości, bo wszedł inną drogą. Uczuł zawrót głowy, w oczach mu się zaćmiło i na pół zemdlony padł na ławkę.

Piotr przestał grać, z niepokojem pochylił się nad nim; Randolph także rzucił wiołę i zaczął go cucić. Niebawem na schodach ozwały się ciężkie kroki, i na galeryę weszła stara piastunka, niosąc kubek gorącego piwa z korzeniami. Za nią ukazała się złotowłosa główka Joanny.

— Młody cudzoziemiec zemdlął podobno?—rzekła piastunka — moja pani przysyła mu kubek piwa na pokrzepienie. Biedaczek! musiał się zmęczyć za- nadto.

Hugo odzyskał przytomność i skwapliwie przyjął kubek, rad że może ukryć twarz przed wzrokiem Joanny. Wstyd, boleść i trwoga miały nim naprzemi- niany.

— Lepiej wam teraz? — zapytało dziewczę, pa- trząc na Hugona ze współczuciem.

Odrzekł kilka słów po niemiecku i zasłonił twarz rękoma.

— Widocznie nie zna naszego języka? — zauwa- żyła, zwracając się do Piotra. — Powiedźcie mu, że nam wszystkim bardzo przykro, ale mamy nadzieję, że mu się polepszy i będzie mógł śpiewać nam jeszcze.

— On rozumie naszą mowę — odparł Piotr. — Jakże się czujesz Karl? Młoda pani chciałaby cię usły- szeć. Czy będziesz mógł śpiewać?

Hugo obląkanemi oczyma spojrział na Joannę. Przyszła mu szalona myśl do głowy: żeby wyznać jej kim jest, — ale Randolf wyczytał z jego twarzy posta- nowienie i przeszył go takim wzrokiem, że Joanna mimowolnie się cofnęła. Grad przekleństw i obelg po niemiecku posypał się z ust Randolfa, przemocą kazał Hugonowi powstać i śpiewać.

Dziewczę odrazu uczuło niepokonaną odrazę do tego człowieka o srogiem spojrzeniu i posępnej twarzy, skwapliwie opuściło galeryę. Myśl o biednym, młodym lutniście, z którym ojciec jego obchodził się tak su- rowo, zakłócała jej zabawę, i nawet kiedy zaczęły

się tańce, ona od czasu do czasu spoglądała z litością na zmęczoną twarz Karla.

— Jaki to piękny młodzieniec—rzekł pułkownik Wharncliffe, który słuchał z zadowoleniem śpiewu Hugona — i my w młodości nosiliśmy włosy krótko przystrzyżone jak on; włosy krótkie lepiej przystają mężczyznom niż długie pukle i piętrowe peruki.

Po niejakięj przerwie znów zaczęły się tańce i przeciągnęły się dość długo. Noc zapadła, w przed- sionku zapalono lampy i świece, a pułkownik Wharn- cliffe powstał, żeby przemówić do swoich dzierżawców. Było to hasło rozejścia się.

Joanna pierwszy raz w życiu z roztargnieniem słuchała słów ojca. Patrzyła wciąż na młodego lutni- stę, którego oblicze było jej dziwnie znane, i starała się przypomnieć sobie, gdzie go przedtém widziała. Sie- dział zdala od towarzyszy, a jego regularne rysy miały wyraz żalu i zniekania. O czém mógł myśleć? Może tęsknił za krajem rodzinnym? Może rozważał, w jaki sposób uciec od surowego ojca? Ostatni powstał i kładąc mu rękę na ramieniu, przemawiał rozkazuja- co. Młodzieniec pochylił głowę z rozpaczą, jak czło- wiek, który się poddaje okrutnej doli.

— Idź spać, moja mała — rzekł pułkownik do córki — musisz być znużona.

Joanna usłuchała, ale kiedy po raz ostatni spoj- rzała się na galeryę, oczy jej napotkały wejrzenie lutni- sty, tchnące takim bólem i smutkiem, że mimowoli uczuła lzy pod powieką.

XIII.

Dzierżawcy dawno opuścili zamek, zmęczona służba udała się na spoczynek i wszystkie światła w domu pogasły, prócz jednego. Płonęło ono w latarni Randolfa, który, wraz z bratem i starym Piotrem, zajmował pokój obok galeryi. Pułkownik nie pozwolił na to, ażeby zmęczeni muzykanci wracali po nocy do St. Edmonsbury i zaprosił ich na nocleg.

Piotr spał oddawna jak zabity, Hugo siedział nieruchomy przy stole z głową w dłoniach ukrytą. Randolph przypuszczał, że zasnął i przypatrywał mu się z niepokojem. Wybiła dwunasta; Hugo drgnął na dźwięk zegaru, odsłonił twarz zękaną. Przynależ, że będzie towarzyszył bratu, ale dokąd i w jakim celu — tego nie wiedział.

— Zdejm buty — rozkazał Randolph.

Hugo posłuchał; obaj zeszedli ostrożnie po wązkich schodach, wiodących do przedsionka, ale kiedy Randolph chciał otworzyć drzwi, pokazało się, że są zamknięte. Zaklął po cichu i wrócił na górę, szukając drugiego wyjścia. Znalazł je równie zamknięte. Widocznie pułkownik Wharnccliffe nie dowierzał ludziom obcym, których tak gościnnie podejmował w swoim domu. Twarz Hugona rozjaśniła się; Randolph to spostrzegł i gniew błysnął w jego oczach. Skinął na brata, żeby szedł za nim i wychyliwszy się przez galeryę, mierzył zwrokiem jęj wysokość. Może

dziesięć stóp dzieliło ją od podłogi przedsionka, wsparta zaś była na drewnianych słupach.

— Jesteś zręcznym gimnastykiem — rzekł do Hugona — musisz się spuścić i wyręczyć mnie.

— W czym?

— W sprawie bardzo ważnej dla nas i dla kraju.

— Wolałbym służyć krajowi inaczej — gorzko zauważył Hugo.

— Mniejsza o to cobyś wolał — chłodno odparł Randolph. — Słuchaj: w tym domu są papiery, które zawierają dowody zdrady; wiem o tém z pewnością. Znajdziesz je albo w tej komnacie, gdzie widzieliśmy spiskowców, albo w wielkiej sali. *Musisz* je znaleźć, czyś zrozumiał?

Hugo milczał, ale z twarzy jego można było wyczytać, co się z nim dzieje. On miał popełnić czyn tak haniebnny, skradać się w nocy jak złodziej, przetrząsać skrytki, gubić ojca Joanny! Nigdy!

— Nie mogę tego uczynić — rzekł zmienionym głosem.

Odpowiedź przecząca była czemś niezwykłym w ustach Hugona; Randolph zrozumiał, że musi się uciec do ostatecznych środków. Spokojnie wyciągnął pistolet z kieszeni i nabił go.

— Kocham cię bardzo, prócz ciebie nie mam nikogo na świecie — mówił, przykładając mu lufę do skroni — mimo to jeżeli nie zobowiąziesz się przysięgą, że będziesz mi posłusznym, zabiję cię bez litości.

— Nie wiem, jaką odniósłbyś z tego korzyść — spokojnie odparł Hugo; — mordercy nie mogą dziecić.

— Postarałbym się o to, żeby śmierć twoją złożoną na karb wypadku: Wybieraj: albo ocalisz życie i zasłużysz się dobrze krajowi, albo zginiesz.

Krew zastygła w żyłach Hugona. Umierać tak młodo i z ręki rodzzonego brata! Nie, to byłoby zbyt straszne... Ale co począć? Wołać ratunku? Zanim by ktokolwiek przybiegł z pomocą, onby już nie żył. Uciekać nie było sposobu; musi wybierać między hańbą a śmiercią. Randolph wlepił w niego wzrok surowy, nieubłagany i czekał.

Nagle myśl nowa błysnęła Hugonowi, uchwycił się jój jak deski ratunku. Może nie znajdzie tych papierów? Może nie będzie w nich nic ważnego? W ten sposób ocali życie swoje, a nie narazi ojca Joanny.

— Czas nagli—nalegał Randolph.—Wybieraj!

Hugo czuł, że powinien wybrać śmierć niż hańbę, ale wrażliwa jego dusza uległa grozie, jaką w nim wzbudzał Randolph. Wiedział, że on dotrzyma słowa i uległ.

— Będę ci posłusznym—jęknął z trudnością.

Starszemu bratu nie wystarczała obietnica.

— Przysięgnij, że przetrząsniesz wszystkie skrytki — domagał się, nie odejmując pistoletu od jego skroni — na ten krzyż przysięgnij.

Wskazał ręką na portret młodej zakonnicy, która trzymała krzyż w ręku. Była młoda i piękna, twarz jój jaśniała nadziemską pogodą i spokojem.

— Przysięgamy, że będę wszędzie szukał tych papierów i przyniosę ci je, tak mi Boże dopomóż! — szepnął Hugo, odwracając głowę, gdyż zdawało mu się, że oczy mniszki patrzą na niego z wyrzutem.

Randolf pochwycił go w objęcia.

— Niech cię Bóg błogosławi, chłopcze! — zawołał — jeszcze chwila, a byłbym popełnił zbrodnię, której nie przebaczyłbym sobie nigdy.

Surowa jego twarz rozjaśniła się, odetchnął lżej, jak gdyby mu kamień spadł z serca. Kochał brata, a jednak zabiłby go bez wahania, gdyby mu był stawiał opór.

Hugonowi szło teraz o to jedynie, ażeby jak najprędzej spełnić wstrętne i nienawistne polecenie. Z zadziwiającą zręcznością zsunął się po słupach na ziemię i wzięwszy latarnię, którą mu spuścił Randolph, zniknął we drzwiach, prowadzących do narożnej komnaty. Otworzywszy biurko, przerzucał szybko papiery, ale znajdowały się tam tylko przepisy kuchenne, ćwiczenia łacińskie, wiersze i rysunki. W osobnej szufladzie leżał zeszyt związany czerwoną wstążką, a na wierzchu skreślony był pięknym charakterem napis: „Dziennik Joanny Wharnccliffe, zaczęty w roku 1682”.

Hugo nie tknął go nawet i szybko zamknąwszy biurko, zaczął oziierać ściany, spodziewając się w nich znaleźć skrytkę. Przysięgnął—więc musi wypełnić wolę brata. Nagle podniósł oczy do góry i struchlał: błękitne źrenice Joanny patrzyły na niego z portretu, wiszącego na ścianie; młodzieńcowi się zdawało, że czyta w nich wzgardę i oburzenie.

Jęknął mimowoli i wemknął się do drugiej komnaty, ale i tam jednak nic nie znalazł. Dopiero w wielkiej sali poszukiwania zostały uwięzione pomysłnym skutkiem: przy blasku latarni zauważył, że jedna tafla

w ścianie różniła się od innych; dotknął jęj i przekonał się, że była ruchoma. Odsunąwszy ją, ujrzał skrytkę, a w niej pełno ksiąg i papierów. Z rozpaczą w sercu wziął się do ich przejrzenia. Odłożywszy na bok dokumenty prawne i broszury bez znaczenia, znalazł rękopis zawierający uwagi nad rządami Stuartów i rady, w jaki sposób możnaby się pozbyć ich jarzma.

Hugo wiedział, że te papiery mogą zaprowadzić pułkownika na rusztowanie; mimo to musiał je zabrać i zamknąwszy skrytkę, wsunął się na palcach do przedsionka. Czemuż nie przeniósł śmierci nad hańbę! Czemu w ostatniej chwili zbrakło mu odwagi! Złorzeczając sobie, przywiązał papiery do liny, rzuconej mu przez Randolfa, gdy nagle jakiś szmer rozległ się w przedsionku. Hugo drgnął i cofnął się. Czyżby go kto śledził? Nie, to tylko zegar wybił pierwszą. Godzinę czasu zabrało mu poszukiwanie, ale skutki jego ciężyc będą na sumieniu młodzieńca przez całe życie.

— Chodź! — szepnął Randolf — czego się ociągasz?

Hugo zaczął się wdzierać na słup galeryi, lecz czy w skutek pośpiechu, czy przez nieuwagę, noga mu się obsunęła i spadł ciężko na kamienną posadzkę.

— Niedolega! — syknął brat ze złością.

Położenie było fatalne; sznur, na którym spuszczał latarnię, nie utrzyma ciężaru mężczyzny; jednak trzeba wciągnąć Hugona na górę. Nagle przyszła mu dobra myśl do głowy: płaszcz starego Piotra związał ze swoim i spuścił bratu tę improwizowaną linę. Młodzieniec uchwycił się jęj i z największym wysił-

kiem zdołał dostać się na górę. Nakoniec Randolf zdołał uchwycić jego ręce i wciągnął na galeryą.

— Co ci się stało? — zapytał z trwogą — okaleczyłeś się?

Hugo nie mógł mu odpowiedzieć: leżał bez zmysłów na podłodze, podobny więcej do trupa niż do żywej istoty.

XIV.

Dziennik Joanny.

„Maj 1683. Przez zimę niewiele miałam do zapisania w moim dzienniku. Listy z Londynu donosiły, że prześladowanie dysydyntów wzrasta, że wielu z nich zostało wyklętych i uwięzionych. Mój ojciec powiada, że to wszystko dzieje się w tym celu, ażeby wyłączyć ich od wyborów do rady miejskiej. Torysi postarają się o taką radę miejską, która nie będzie wchodzić im w drogę i pozwoli na zniesienie przywilejów Londynu.

W Mondisfield było cicho przez zimę, ale od czasu napadu na stodołę już nie mogliśmy tam się zbierać. W niedzielę bywaliśmy w parafialnym kościele, a wieczorem garstka wiernych gromadziła się u nas w przedsionku na spólną modlitwę. Okna są zasłonięte ciężkimi firankami, które uszyliśmy same, mimoto, ilekroć wiatr głośnieję zaszeleści, lub świerszcz odezwie się w kominie, dreszcz trwogi nas przechodzi

i zamiast uważać na kazanie lub odmawiać modlitwę, nasłuchujemy, czy wojsko się nie zbliża. Tym razem nie możemy liczyć, żeby nas kto ostrzegł.

Marzec był suchy i gorący, ale zato w kwietniu mieliśmy ciągle deszcze, nawet na 12 maja, dzień urodzin Betty, drogi jeszcze niezupełnie wyschły. Mimo to dzierżawcy stawili się, jak zwykle, na doroczną uroczystość; były tańce, muzyka i śpiewy, bawiliśmy się doskonale. Stary Piotr przyprowadził z sobą dwóch niemieckich lutnistów, którzy mię bardzo zaciekawili, zwłaszcza młodszy, prześlicznym obdarzony głosem.

Nazajutrz po urodzinach Betty, Ewelina i ja usłyszałyśmy następującą rozmowę w korytarzu, obok naszego pokoju:

— Śliczna historya! — mówiła Margery, pokojówka mojej matki — młody cudzoziemiec złamał trzy zębra.

— Jakim sposobem? — zagadnęła piastunka — pewno przebrali miarkę w trunku i pobili się z sobą. Taki zwykle bywa koniec grzesznych piasów i bankietów.

— Stary Piotr opowiadał, że młody cudzoziemiec poślizgnął się na posadzce. Biedaczek ma być biały jak płótno.

Ledwie piastunka usłyszała te słowa, już jój nie było w korytarzu; ma dobre serce, więc zaraz pobiegła na górę do lutnisty. Ubrałyśmy się spiesźnie i wyszłyśmy do przedsionka na modlitwę. W domu powstało wielkie zamieszanie: jedni mówili, żeby chorego odesłać do St. Edmosbury, gdzie jest chirurg, inni radzili żeby go opatrzył nasz kowal, Łukasz, który bar-

dzo wprawnie zestawia kości. Piastunka utrzymuje, że byłoby niebezpiecznie ruszać chorego z miejsca; tego samego zdania jest jego ojciec i stary Piotr; tylko on sam błaga i prosi, żeby go ztąd wywieźć. Łukasz przyszedł a opatrzywszy go, powiedział, że nie można go nosić po stromych schodach, więc musi pozostać u nas, tembardziej, że taka jest wola jego ojca, który obchodzi się z nim bardzo surowo. Piastunka powiada, że ani jęknął podczas bolesnego opatrunku, a teraz leży cicho i tylko wzdycha od czasu do czasu.

Ojciec kazał mnie i Ewelinie pójść na górę i rozzerwać go. Ewelina przyniosła lutnię i prosiła, żeby nas uczył grać na nię; on rozumie poangielsku, ale mówić nie może. Teraz już wiem, kogo mi przypomina jego twarz blada i siwe oczy: podobny jest do nieznanego rycerza, który tak dzielnie wystąpił w mojej obronie.

Nazajutrz zdarzyła się rzecz dziwna. Chciałyśmy, żeby nas uczył ponemiecku i, wskazując różne przedmioty wokoło, pytałyśmy jak się nazywają. Zkolei przyszło do portretu małego Hugona Wharncliffe. Zapytałam jak po niemiecku „dziecko” i opowiedziałam mu historią tego wizerunku. Musiało go coś okropnie zabołec, gdyż zbladł jak chusta i widać było, że cierpi straszliwie. Ewelina chciała biedz po piastunkę, ale on skinął ręką, dając znak, żeby została. Po chwili przyszedł do siebie.

Mój ojciec okazuje mu wiele życzliwości; on zdaje się go obawiać. Najbardziej lubi, kiedy my obie siedzimy z piastunką i czytamy głośno.

Czerwiec 1683. Przez ostatnich kilka tygodni mieliśmy dużo zajęcia, nie było więc czasu na pisanie. Młody lutnista niemiecki jest wiele zdrowszy; coraz więcej nam się podoba, wraz z Ewelina spędzam przy nim po kilka godzin dziennie. Mama utrzymuje, że on nas obie uważa za dzieci, i dlatego czuje się swobodniejszy w naszym towarzystwie niż w obecności ojca.

XV.

Hugonem przez ten czas sprzeczne miały uczucia; ogarniała go rozpacz na myśl, że Randolf użyje skradzionych papierów, aby zgubić pułkownika, ale widok Joanny przejmował go niewysłowionem szczęściem. Pierwszy raz w życiu widział, czém jest życie rodzinne, opromienione wzajemną miłością i zaufaniem; niewinne rozrywki i zajęcia dziewcząt, szczerą ich wesołość, serdeczny stosunek dzieci do rodziców, wszystko to było dla niego nowością. Głębokie wrażenie sprawiała też na nim pobożność całej rodziny, wspólne modlitwy, przemowy i nauki pułkownika Wharnccliffe, hymny śpiewane słodkimi głosami dziewcząt.

Ze zdrowiem był już lepiej o tyle, że mógł wstać i chodzić.

Pewnej niedzieli wieczorem garstka purytanów, jak zwykle, zebrała się w przedsionku, na wspólną modlitwę. Hugo ciekawie przypatrywał się im z galerii.

Pomimo spóźnionej godziny, było jeszcze tak widno, że nie zapuszczano firanek. Przy stole siedział pułkownik Wharnccliffe i przeglądał biblię; opodal zajęła miejsce jego żona, otoczona córkami, ławki przeznaczone były dla służby i przybyłych spółwyznawców. Ci ostatni jednak, zamiast usiąść, zbili się w gromadkę i szeptali z sobą, aż wreszcie jeden, ogrodnik Hurst, zbliżył się do pułkownika.

— Mam ważną wiadomość, panie — zaczął; — powiadają, że odkryto spisek na życie króla uknuty przez wigów.

— Zkąd wiesz o tém?

— Konstabl ogłosił we wsi tę nowinę.

— Ja także o tém słyszałem — odezwał się szewc.

— Chciano więc zabić króla? — z niedowierzaniem zapytał pułkownik.

— I księcia York także. Cały Londyn jest w poruszeniu. Spisek odkryli dwaj bracia; młodszy został zmuszony przez starszego do złożenia zeznań.

Hugo zachwiał się.

— Jak się nazywają ci bracia? — badał dalej pułkownik.

— Iheeling, panie pułkowniku.

Hugo odetchnął lżej. Nietylko on był w tak straszném położeniu; innych zmuszano także do odgrywania roli szpiegów.

— W jaki sposób miano dokonać zamachu?

— Spiskowi zamierzali napaść na króla i księcia na drodze z Newmarket.

— Czy nie mówiono kto został aresztowany?

— Żadnego nazwiska nie wymieniono, ale wszyscy niechętni królowi mają być osadzeni w więzieniu.

Pułkownik podziękował za wiadomość i oświadczył, że nabożeństwo odbędzie się jak zwykle. Wkrótce potem zaczął czytać biblią, a głos jego brzmiał donośnie i spokojnie. Następnie odmówił modlitwę za wszystkich, którzy znajdują się w niebezpieczeństwie, a wreszcie przemówił do obecnych, zachęcając ich do wytrwałości i cnoty.

Hugo tymczasem piekielnie przechodził katusze. Przez niego nieszczęście spadnie na tę zacną rodzinę, przez niego pułkownik Wharncliffe zostanie uwięziony, a może skazany na śmierć... Gdyby Joanna o tém wiedziała, jakżeby nim gardziła! Czemuż lepiej nie zginął z ręki brata! Czyż śmierć nie była stokroć lepszą niż wstyd i hańba?

Ale czy niema sposobu naprawienia złego, odkutowania za winy? Zaledwie ta myśl błysnęła Hugonowi, postanowił ją wykonać, choćby go to najwięcej kosztować miało. Zgromadzenie rozchodziło się właśnie, skorzystał więc z ogólnego zamieszania i przechyliwszy się przez balustradę, dał znak Joannie, żeby przyszła na górę. Zdziwione dziewczę udało się tam natychmiast i zastało go w małym pokoiku, przylegającym do galeryi.

— Co tobie, Karl? — zapytała.

— Prosiłem cię, pani, żebyś raczyła przyjść, gdyż pragnę ci wyznać grzech, jaki popełniłem względem twego ojca — rzekł zaledwie dosłyszczanym głosem.

— Ty umiesz po angielsku, Karl? — zawołała. — Dlaczego kryłeś się z tém przed nami?

— Nie jestem tym, za kogo mię bierzesz... Nazywam się Hugo Wharncliffe, jestem twoim krewnym.

— Hugo Wharncliffe! — krzyknęła zdumiona.

— Tak, niestety! — jęknął, zasłaniając twarz rękoma.

Po tém wyznaniu nastalo długie milczenie; Joanna pierwsza je przerwała, a głos jej brzmiał poważnie i łagodnie:

— Siadaj, kuzynie — rzekła — jesteś osłabiony i nie możesz stać długo.

— Nie przemawiaj do mnie tak dobrotliwie, nie jestem wart tego! — zawołał z rozpaczą. — Gdybyś wiedziała, jak ciężką krzywdę wyrządziłem twemu ojcu!

— Dlaczego to uczyniłeś? — zapytała z trudnością tłumiąc oburzenie — dlaczego nienawidzisz mego ojca?

— Ja miałbym go nienawidzić! Bogiem się świadczę, że kocham go i szanuję... Zgrzeszyłem przez brak odwagi, uległem cudzej woli..

— Uległeś namowiem tego drugiego, którego nazywałeś ojcem! Przeczucie mi mówiło, że on jest zły i okrutny.

— Byłem dłonią, która wykonała jego rozkazy. Joanno, zmiłuj się nademną! Znienawidzisz mnie, a ja tego nie przeżyję.

— Jakżebyś mogła cię znienawidzić! — zawołała.

Chciał upaść do jej nóg i wyznać swoją miłość, ale siłą woli powstrzymał słowa cisnące się mu się na usta. Trzeba było dokończyć upokarzającego wyzna-

nia i zapobiedz chociaż w części złemu, które mogło wynikać z jego winy.

— Joanno, posłuchaj mię — odezwał się z pewną stanowczością: — w październiku zeszłego roku mój brat przyprowadził mię tu w nocy, bo pragnął, żebym był świadkiem tajemnego zebrania przeciwników monarchii. To mu nie wystarczało; pożył dowodów piśmiennych, i w tym celu przyszliśmy tu przebrani za muzykantów niemieckich. W nocy kazał mi zejść na dół i szukać papierów. Odmówiłem. Wtedy zagroził, że mię zastrzeli; ja... uległem.

Mówił coraz ciszej i wolniej; znać było, że cierpi okropnie.

— Znalazłeś co? — zapytała Joanna.

— Znalazłem papiery, a one mogą zgubić twego ojca. Niektóre brat zabrał z sobą, u mnie pozostał jeden tylko rękopis.

Podał jej gruby zeszyt, zapisany ręką pułkownika.

— To jedno mogę zwrócić. Jeszcze nie jest zapóźno; ojciec twój może się ratować ucieczką; ja przysięgam na wszystko co mam najświętszego, że nie będę świadczył przeciwko niemu.

Joanna nie rozumiała, jak wielkie znaczenie miała ta obietnica; w głosie Hugona brzmiał taki żal, taka boleść malowała się na jego twarzy, że mimowoli łązy nabiegły jej do oczu.

— Chcesz, żebym zawiadomiła o tém ojca? — zapytała.

Skinął głową twierdząco.

— Więc to ty, kuzynie — po chwili zaczęła — jesteś dzielnym młodzieńcem, który obronił mię w lesie i ostrzegł nas potem o niebezpieczeństwie?

— Niech cię Bóg błogosławi za to, że o tém pamiętasz! — zawołał z uniesieniem i przycisnął do ust jej rękę.

— Nie martw się — mówiła łagodnie — mój ojciec ci przebaczy.

To rzekłszy wyszła, a Hugo rzucił się na łóżko zrozpaczony; łatwiej zniósłby najsroźsze wyrzuty i obelgi, niż przebaczenie pułkownika.

Długo czekał dręczony wstydem i wyrzutami sumienia, wreszcie drzwi skrzypnęły i na schodach rozległy się ciężkie kroki. Pułkownik Wharncliffe szedł z lampą w rękę. Hugo ukrył twarz w poduszkach.

Pułkownik zamknął drzwi, postawił lampę na stole i, siadając przy łóżku, rzekł poważnie:

— Córka powiedziała mi wszystko.

Młodzian jęknął boleśnie.

— Żal mi cię, biedny chłopcze — mówił pułkownik; — znałem twoją matkę, zącą i szlachetną kobietę; ileżby ona wycierpiała, gdyby mogła przewidzieć przyszłość!

Wspomnienie matki, w takiej chwili, jeszcze bardziej przygnębiło Hugona; łzy strumieniem spływały mu po obliczu.

— Nie potępiam cię — uspokajał go pułkownik — okoliczności przysięgły się przeciwko tobie. Tak, nie potępiam cię, lecz żałuję.

— Nie udęczaj mnie swoją szlachetnością, panie! — zawołał Hugo — jestem godzien pogardy i potępienia.

— Mylisz się—odparł pułkownik dobrotliwie.— Chrystus każe nam przebaczać tym, co żalują za swoje winy. Dlaczego miałbym cię potępiać lub gardzić tobą? Jesteś dosyć nieszczęśliwy, bo czujesz ile złego sprawiłeś.

Hugo upokorzony, przejęty wstydem i żalem, byłby rad rzucić mu się do nóg i dziękować za przebaczenie.

— Uciekaj, panie, schroń się w bezpieczne miejsce — nalegał z żywością — przysięgam, że nie będę świadczył przeciw tobie.

— Joanna wspominała mi o tém, ale ja nie mogę przyjąć takiej ofiary.

— Między nami nie może być mowy o ofiarach. Nie doprowadzaj mię do rozpaczy, panie, odrzucając to, co jest z mojej strony tylko obowiązkiem.

— Mówisz szlachetnie, ale czy wiesz, na co się narażasz odmawiając zeznania na moję niekorzyść? Mogą cię wtrącić do więzienia, a z więzienia u nas rzadko kto wychodzi.

— Nie troszcz się o mnie, panie, jam nie wart tego; myśl raczej o własném ocaleniu, o żonie, o dzieciach. Uciekaj lub ukryj się póki czas jeszcze.

— Mówisz to szczerze?

— Nie dziwię się, że nie mam już wiary u ciebie. Przynieś Pismo Święte, a przysięgnę, że nie będę nigdy świadczył przeciwko tobie, choćby mię za to czekały tortury.

— Słowo twoje starczy za przysięgę. Wierzę ci, młodzieńcze.

Scena ta wyczerpała siły Hugona; musiał się położyć, ale czuł, że po wyznaniu lżej mu jest na sercu.

Zaczęli rozmawiać o nowinach z Londynu, a pułkownik podzielał zdanie Sydneya, że owe mniemane spiski na życie króla i księcia York były tylko wymysłem rządu, żeby przesładować republikanów. Hugo opowiadał swemu krewnemu o Algeronie Sydney, o Peshurst, o dworze królewskim, o stosunku swoim do brata. Pułkownik słuchał z wielkiem zajęciem, podziwiając wrodzoną szlachetność młodzieńca, którego nawet złe otoczenie zepsuć nie mogło. Litość przejmowała starca na myśl o cierpieniach, jakie będzie musiał znieść Hugo. Więcój troszczył się o niego, niż o własne bezpieczeństwo.

— Prosiłem, żeby mi zaraz dano znać, skoro do wsi przybędzie ktoś obcy — rzekł — tym sposobem będę miał czas zapobiedz nieszczęściu.

— Dlaczego nie uciekasz zaraz, panie?

— Nie ma potrzeby. Jest tu, w pobliżu, bezpieczna kryjówka, gdzie nikt mię nie znajdzie... Dobranoc ci przyjacielu, zostań z Bogiem.

XVI.

Pomimo znużenia i spóźnionej pory, sen odbiegał od powiek Hugona. Wyznanie winy ulżyło jego sumieniu, ale nie dało spokoju. Co chwila mógł się

spodziewać, że przez niego nieszczęście spadnie na ten dom zacny; jutro może on sam będzie więźniem i nigdy już nie ujrzy Joanny... A jeżeli Randolf zmusi go znów do jakiejś nikczemności? Wzdrygnął się na to przypuszczenie i przysiągł sobie, że choćby go miało życia pozbawić, nie ulegnie bratu.

Potém przyszedł mu na myśl Algeron Sydney. Gdyby tak można napisać do niego, wyznać mu wszystko i prosić o radę? Nie, to niepodobna. Mógłby kto przejąć list w drodze a to pogorszyłoby stan rzeczy. Lepiej cierpieć samemu niż innych narażać na niebezpieczeństwo.

Kto wie zresztą, czy Sydney nie był już uwięziony? Bajka o spisku dawała rządowi sposobność do pogwałcenia wigów, a Sydney należał do najbardziej wpływowych mężów tego stronnictwa. Wrogowie skwapliwie skorzystają ze sposobności, żeby się go pozbyć; wiadano, że niczem nie można go ująć, dlatego uważano go za nader niebezpiecznego człowieka.

Hugo miał nadzieję, że Sydney zdąży schronić się do Francji, ale przecucie nieszczęścia, od czasu wyjazdu z Penshurst, wciąż napawało go trwogą. Słowa Sydneya: „Zobaczymy się w Londynie”—brzmiały mu nieustannie w uszach jak dzwon pogrzebowy. Może się zobaczą, ale gdzie?

Dopiero nad ranem sen zmorzył młodzieńca; spał tak mocno, że nie słyszał jak pułkownik Wharncliffe wszedł i, stanąwszy nad nim, patrzył z ojcowiskim społeczcieniem.

— Wstań, Hugonie!—odezwał się łagodnie.

Młodzieniec powiódł dokoła przestraszonym wzrokiem.

— Muszę się pożegnać — mówił starzec — doniesiono mi właśnie, że dziś o świcie przybył jakiś nieznamy szlachcic a z nim sir Peregrine Blake, dwóch konstablów i sześciu ludzi. Nie ulega wątpliwości, że mają zamiar mię uwięzić.

— Uciekaj spiesznie, dobry mój panie!—zawołał Hugo — dlaczego się ociągasz?

— Chciałbym, żebyś się ukrył wraz ze mną.

— A na kim brat mój wyrze swoją wściekłość? Na twojej żonie i córkach, panie Wharncliffe? Patrzysz na mnie z niedowierzaniem. Ach! nie znasz mego brata.

— W takim razie zostanę z niemi.

— Nie! — z uniesieniem wykrzyknął Hugo—nie możesz, nie powinieneś tu zostać. Pozwól mi naprawić choć w części błąd jaki popełniłem.

— Weź pod rozwagę, że sprawa będzie ciężka, a tyś jeszcze bardzo młody.

— Potrafię cierpieć i milczeć — stanowczo odparł Hugo — dziękuję ci za twoją dobroć, panie, ale nie chcę i nie mogę uciekać.

— Niech Bóg doda ci siły i odwagi! — uroczyście szepnął pułkownik i, uściśnawszy dłoń młodzieńca, wyszedł.

Nagle Hugo przypomniał sobie, że ma rękopis pułkownika; przyodziawszy się, zeszedł spiesznie na dół. W przedsionku spotkał Joannę, bladą i stroskaną. Rozpacz go ogarnęła na myśl, że dziewczę cierpi przez niego; nie była to jednak pora na próżne żale.

— Kuzynko, ojciec twój nie zabrał z sobą tego rękopisu—rzekł—trzeba go ukryć koniecznie.

Machinalnie wzięła zeszyt.

— Gdzie go schować? — zagadnęła. — Nie mam dziś głowy do niczego.

— Możeby go spalić?

— W kuchni tylko ogień się pali, a tam są dziewczęta.

— Więc przywiąż do zeszytu kamień i wrzuc w fosę.

Joanna szybko wynalazła sznur i kamień, przywiązała do niego rękopis, wybiegła potem do parku, oglądając się, czy kto ją nie podpatruje. Wszędzie było pusto i spokojnie, ani jedna chmurka nie przymiewała przejrzystych błękitów nieba, ani jeden liść nie poruszał się na drzewie. Dziewczę z niemą skargą spoglądało na niebo i słońce; jak ono mogło świecić tak pięknie, kiedy nieszczęście zagrażało rodzinie, kiedy jój ojciec musiał się ukrywać we własnym domu, kiedy Hugo miał tak ciężko odpokutować za swoje poświęcenie! Szybko otarła łzy i weszła na drewniany mostek nad fosą, raz jeszcze obejrzała się dokoła i pewną ręką cisnęła fatalny rękopis w wodę. Teraz nikt go nie znajdzie, nikt nie użyje na zgubę jój ojca.

Stała wciąż na moście, zapatrzona w kręgi rozchodzące się po wodzie, kiedy wtém doszedł ją miarowy, stłumiony tętent: zbladła i silniej uchwyciła się poręczy. Jeźdźcy zbliżali się, żeby uwięzić ojca i zabrać Hugona.

Zdyszana wpadła do domu; Hugo siedział na krzesle w przedsionku, błądy i nieruchomy jak posąg.

— Kuzynie! — zawołała — rękopis na dnie fosy, ale oni jadą!

Twarzyczka jój tenęła najwyższą trwogą.

— Nie ufasz mi? — zapytał młodzieniec.

— Ufam ci i wierzę, jednak lękam się o ciebie.

Co oni z tobą zrobią?

— Nie wiem, nie chcę nawet myśleć o tém... Kuzynko, otrzej łzy; one więcej mię bolą niż najokrutniejsze razy.

W tój chwili Joanna, spojrzawszy w okno, zawołała.

— Otóż i nieproszeni goście!

W domu powstał popłoch; dzieci i służba zeszły się do przedsionka, wszyscy z niepokojem spoglądali na bladego młodzieńca, od którego zawisł los całej rodziny. Pani Wharncliffe serce ścisnęła boleścią i obawa. Hugo wyglądał tak wątko, czy można było mu zaufać?

Jeźdźcy przejechali most zwodzony, zsiadli z koni i, po krótkiej naradzie, weszli do schody.

— Czy pułkownik Wharncliffe jest w domu? — zapytał sir Peregrine, który pierwszy do drzwi zastukał.

— Niema go — odpowiedział służący.

Sir Peregrine zaklął głośno.

— To niepodobna! — zawołał Randolf — zdrajca musiał się gdzie ukryć... Puszczaj nas, łotrze, mamy rozkaz aresztowania twego pana.

Wraz z towarzyszami wszedł do przedsionka.

— Gdzie jest Karl, lutnista niemiecki? — zapytał niecierpliwie.

Hugo wstał i, postąpiwszy kilka kroków odparł spokojnie:

— Nie ma tu żadnego Karla, żadnego lutnisty. Krewni moi wiedzą kto jestem.

Randolf rzucił się na brata i pochwycił go za kołnierz.

— Co to znaczy? — wrzasnął, wstrząsając nim z całej mocy — może ostrzegłeś tego zdrajcę?

— Powiedziałem pułkownikowi Wharncliffe, że byłem szpiegiem — szepnął Hugo.

— Powiedziałeś mu to!

— Uważałem za mój obowiązek.

— Masz więc nagrodę!

Wymierzył mu taki silny policzek, że młodzieńiec upadł na posadzkę.

Stłumiony szmer przebiegł wśród obecnych; gromadka dziewcząt w szarych sukienkach i białych kołnierzach zbiła się dokoła matki, która stała przed nimi, gotowa bronić ich z narażeniem życia. Była bardzo blada, ale w jej postawie tyle przebijało się godności i powagi, że nikt nie ośmieliłby się na uchybienie. Randolf zdjął przed nią kapelusz i, kłaniając się, rzekł:

— Pani, mamy rozkaz aresztowania pułkownika Wharncliffe; oskarżony jest o spółnictwo ze zdrajcami, którzy chcieli zamordować króla i księcia York.

— Fałsz niezemny — odparła spokojnie.

— Mamy na to dowody. Ja sam złożyłem je rządowi, jestem gotów świadczyć przeciw niemu. Brat mój będzie drugim świadkiem.

— Nigdy! — z uniesieniem zawołał Hugo.

Oczy jego, zwykle spokojne i rozmarzone, ciaskały teraz błyskawice; stał z podniesioną głową i patrzył na brata, jak gdyby go wyzywał do walki. Randolfa zdumiała ta stanowczość i odwaga, która obracała w niwecz jego plany.

— Później o tém pomówimy — syknął groźnie i, zwracając się do pani Wharncliffe, dodał: — Racz pani powiedzieć, gdzie jest twój małżonek?

— Żadnych nie mogę udzielić o nim wiadomości — brzmiała chłodna odpowiedź.

Randolf skinął na towarzyszącego mu oficera i przez kilka chwil naradzali się na stronie, poczem oficer zbliżył się do pani Wharncliffe.

— Przykro mi bardzo, ale muszę spełnić mój obowiązek i przeszukać dom cały — rzekł; — służba tymczasem pozostanie w przedsiönku, pod strażą moich ludzi.

Pułkownikowa skłoniła głowę na znak zezwolenia, i z powagą zasiadła w fotelu, obok kominka. Dziewczęta otoczyły ją wiankiem, Hugo zajął dawne miejsce, a Randolf, w drugim końcu przedsiönka, naraźał się półgłosem z sir Peregrinem.

Pani Wharncliffe i jej córkom każda minuta wydawała się wiekiem; kryjówka pułkownika była wprawdzie trudną do odszukania, ale przecież siepacze mogli natrafić na nią przypadkiem. Stroskana matrona musiała wyżyć siłę woli, żeby zapanować nad

sobą, nie zdradzić palącego niepokoju, jaki ją ogarniał za każdym głośniejszym okrzykiem, każdym stąpieniem żołnierzy, którzy przetrząsali dom od dołu do góry. Ilekroć zbliżali się do kryjówki męża, bladła hamując wzruszenie, ścisnęła mocniej rączkę Eweliny.

Skończyły się wreszcie męczarnie niepewności; żołnierze powrócili z niczem. Mała Ewelina nie mogła wstrzymać się od śmiechu, starsze dziewczęta, idąc za przykładem matki, udawały obojętność i spokój.

Pani Wharnccliffe wiedziała że to jeszcze nie koniec i mimowoli zadrżała, patrząc na wątłego młodzieńca, od którego los ich teraz zależał. Wzrok jego przygasł, oblicze pobladło, dreszcz wstrząsał ciałem; czy on zdoła oprzeć się woli starszego brata, któremu dotąd tak ślepo ulegał?

— Nie znaleźliście go! — krzyczał Randolf rozjątrzony — głupcy! niedołęgi!... A ja wam powiadam, że musimy go ująć... Przeprowadzić mi tego młokosa! Potrafię wydobyć z niego prawdę.

Konstable zbliżyli się do Hugona, on ich odsunął i pewnym krokiem szedł do brata.

— Słuchaj, chłopcze — odezwał się łagodnie sir Peregrine — dawno już ci przebaczyłem ranę, którą mi zadałeś w pojedynku i, jako przyjaciel, radzę ci usłuchać brata, wyznać wszystko co wiesz o pułkowniku. Co on ciebie może obchodzić? Obowiązek względem monarchy nakazuje ci wyjawić prawdę.

— Żądasz niepodobieństwa, panie sędzio — z uszanowaniem odparł Hugo.

— Dlaczego to ma być niepodobieństwem?

— Gdyż postąpiłbym nieuczciwie.

Sir Peregrine rozśmiał się rubasznie.

— Na moją duszę! to samo powiedział przed pojedynkiem. Zastanów się, że ten zdrajca jest niczem dla ciebie, kiedy przeciwnie, jesteś winien wszystko bratu i królowi.

— Przebacz panie sędzio, ale przedewszystkiem winieniem pamiętać o sumieniu i honorze.

— Tracimy czas na gadaninę — niecierpliwie zawołał sir Peregrine — powiedz nam raz, gdzie jest pułkownik Wharnccliffe.

— Nie mogę.

— Daj pokój, Blake — przerwał Randolf — ja sobie dam z nim radę; znajdę lepsze od słów argumenty.

Położył rękę na ramieniu młodszego brata i, patrząc mu w oczy surowo, rzekł z przyciskiem:

— Powiedziałeś, że nie będziesz świadczył przeciw pułkownikowi Wharnccliffe. Czy wiesz, że wskutek tego możesz być oskarżony o dopomaganie zdrajcom?

— Wiem.

— Wiesz jaką karę pociąga za sobą to przestępstwo?

— Wiem.

— Byłbyś chyba szaleńcem, gdybys narażał się na dożywotnie więzienie dla ocalenia wroga naszej rodziny!

— Będzie to pokuta za moje przewinienie względem niego.

— Nie chcę brać cię za słowo... Jeszcze raz pytam się: spełnisz moje żądanie?

Pani Wharncliffe, słysząc te słowa, zadrżała, w głosie okrutnego brata brzmiały trwoga i niepokój; rozumiał, jak fatalne dla niego skutki pociągnie za sobą odmowa Hugona, więc zdejmowała go obawa na myśl, że młodzieńca nie zdoła zmusić do niecnego czynu.

Zdawało się przez chwilę, że Hugo się waha, i tak było rzeczywiście; szukał w udręczonym umyśle sposobu pogodzenia dwóch sprzecznych zadań: posłuszeństwa względem brata i dotrzymania słowa danego pułkownikowi? Zerwać z Randolfem na zawsze, resztę życia spędzić w więzieniu, a! to byłoby straszném.

Walka trwała krótko; oczy młodzieńca zabłyśły, oblicze przybrało wyraz niezłomnej stanowczości.

— Nigdy nie będę świadczył przeciw pułkownikowi, tak mi Boże dopomóż!

Wypowiedział te słowa wolno i z przyciskiem. Sprawily one na Randolfie wrażenie niesłychane; wszelkie braterskie uczucia opuściły jego serce, wrzał wściekłością i żądzą pomsty.

— Sir Peregrine, racz napisać rozkaz uwięzienia tego buntownika.

Wezwany usłuchał, zlorzecząc upartemu chłopcu.

Hugo w osłupieniu patrzył jak kreślono na papierze słowa, mające pozbawić go wolności. Po wysiłku energii i stanowczości nastąpiło odrętwienie; zdawało mu się, że tu chodzi o człowieka obcego a nie o niego.

Dla Randolfa to było jeszcze zamało; spokój brata coraz bardziej go drażnił.

— Musimy wydobyć z niego wiadomość o kryjówce pułkownika — syknął — héj! przyniescie mi tu szpicrutę!

Pani Wharncliffe podniosła się i błagalnie złożyła ręce.

— Miěj litość, panie! Nie czyni nic złego szlachetnemu młodzianowi.

Hugo ostrzegł ją spojrzeniem, żeby dała pokój; należało siepaczy utrwalić w tém przekonaniu, że on jeden tylko wie o schronieniu pułkownika. Gdyby zaczęła pani nie szło o męża, nie byłaby dopuściła do tej ostateczności, ale od jego bezpieczeństwa zależał los jój i córek.

Szpicruta swisnęła w powietrzu i grad razów popytał się na Hugona. Szmer oburzenia przebiegł wśród obecnych, pani Wharncliffe zbladła, Ewelina, Domaris i ich siostry płakały; Joanna stała z zaciśniętymi dłońmi, wzrokiem pełnym przerażenia wpatrywała się w dręczzonego kuzyna.

— Mów, gdzieś widział po raz ostatni pułkownika? — pytał Randolf — pamiętaj, że będę cię smagał, dopóki mi nie powiesz prawdy.

— Możesz mię chłostać do dnia sądnego — odpowiedział Hugo.

Dla Joanny każda minuta wydawała się wiekiem. Randolf, doprowadzony do wściekłości oporem brata, którego uważał dotąd za bierne i powolne narzędzie swoje, bił go zapamiętale, nie zważając na skutki. Sir Peregrine ulitował się nakoniec nad katowanym młodzieńcem i położył koniec ohydnej scenie.

— Dajże pokój! Zabijesz chłopca! — wykrzyknął. — Nie mogę pozwolić na takie znęcanie się.

Widząc, że Randolf na to nie zważa, skinął na jednego z konstablów.

— Zabierzcie więźnia, on już do was należy.

Konstabl skwapliwie podbiegł do Randolfa i oświadczył mu, że musi zabrać Hugona. Randolf zaczął kląć, miotać się, ale to nic nie pomogło; konstable wynieśli z przedsionka zemdlonego młodzieńca.

XVII.

Pułkownik Wharnclyffe przebywał tymczasem w bezpiecznym schronieniu, znanym kilku jedynie osobom. Była to niewielka izdebka, pięć łokci wysoka, oświetlona za pomocą wąskich szczelin w murze. Przewadziły do niej drzwiczki tajemne, tak starannie ukryte, że można było lata mieszkać w zamku a nie domyśleć się o istnieniu tego zakątka.

Pułkownik słyszał stąpania ludzi, którzy przetrząsali wszystkie komnaty zamku, słyszał ich rozmowy i narady, drżał z niepokoju o Hugona. Nastąpiła cisza, przerywana dziwnymi odgłosami, dochodzącymi z przedsionka, a wkrótce rozległ się na schodach płacz małej Eweliny, którą pocieszała stara piastunka.

— Nie martw się, dziecko — mówiła — to dzielny chłopiec, powinnaś być dumna z niego.

Głosy i stąpania ucichły, zapanował spokój.

Teraz ktoś idzie na galeryę; pułkownik słyszy łkania; zdaje mu się, że to Joanna płacze.

Sir Peregrine starał się udobruchać Randolfa, ale widząc, że wszelkie przełożenia nic nie pomagają, dał za wygrane i zażądał obiadu. Należało mu się pokrzepić i posilić po trudach, Służba uwijała się w kuchni, żeby jaknajspieszniej przyrzadzić żądany posiłek. Joanna skorzystała z ogólnego zamieszania i, wymknąwszy się z pokoju, poszła na galeryę, z kądem mogła widzieć drzwi do komnaty, w której zamknięto Hugona. Klucz od niej miał starszy konstabl.

— Młody panicz odzyskał przytomność — mówił do sir Peregrina — ale nie wiem, czy będzie w stanie puścić się dziś w podróż.

— Musil! — oburkliwie zawołał Randolf. — Zaraz ja pójdę do niego.

Konstabl ani myślał oddać klucza, a sir Peregrine wtrącił z pośpiechem:

— Przedewszystkiem trzeba zjeść obiad, Randolfie, to z pewnością poprawi ci humor. Otóż i rozbif! W samą porę go przynoszą... Pozwól, że ja sam go pokraję, tyś się dosyć napracował.

Joannę oburzył do głębi wybuch śmiechu, jakim przyjęto dowcipną uwagę. Nagle błysnęła jej myśl szczęśliwa: szybko zbiegła ze schodów, wzięła z kuchni pszenną, świeżo upieczoną bułkę, nalala wina do szklanki i, niepostrzeżona, dostała się do tylnych drzwi komnaty, w której znajdował się Hugo. Kto wie, może konstabl drzwi nie zauważył? Dotknęła klamki — były otwarte. Wsunęła się po cichu do pokoju i zawołała półgłosem:

— Kuzynie!

On zerwał się, uszom własnym nie wierząc.

— Ty tutaj! — zawołał.

— Cicho! — ostrzegła — przyniosłam ci posiłek i wiadomość, że mają cię dziś ztąd zabrać. Jedz i pij.

Hugo był posłuszny, ona zaś na palcach zbliżyła się ku drzwiom, prowadzącym do przedsionka; przez dziurkę od klucza mogła widzieć ludzi siedzących przy stole.

— Dopiero początek obiadu; przyniosę ci jeszcze zraz pieczeni.

— Dziękuję ci, kuzynko, nie mógłbym przekłnąć ani kęsa. Jeżeli jesteś tak dobra, to zostań ze mną. Zapewne nigdy się już nie zobaczymy.

— Nie mów tego! — szepnęła prawie z płaczem.

Patrzył na nią długo, jak gdyby chciał wryć sobie jęj rysy w pamięci. Była tak piękna z rumieńcami, które kwitły na jęj delikatnej twarzyczce; w błętnych oczach lśniły brylantowe łzy, rozwiane, złote loki spadały w nieładzie na alabastrowe czoło.

— Joanno! — zawołał błagalnie — powiedz raz jeszcze, że mi przebaczasz, że nie żywisz do mnie nienawisci.

— Tylko wdzięczność możemy czuć dla ciebie — odparła.

— To zamało... Joanno! ja pragnę twego serca, twojęj miłości... Nie jestem godzien tego, bo przymiennie nieszczęście na wasz dom spadło, ale kocham cię, kocham Joanno; przysięgam ci, że prędkiej dam się żywcem rozszarpać niż wypowiem jedno słowo przeciw twemu ojcu.

Dziewczę milcząc wyciągnęło do niego obie ręce.

— Niech cię Bóg błogosławi! — zawołał — więc mi ufasz, przebaczasz?

— I kocham cię — dodała.

— Powtórz ten wyraz, a nie zadrzę w obec tortur i śmierci.

Pokraśniała jak różyczka polna, ale uczyniła załość prośbie.

— Kocham cię, mój dzielny rycerzu, kocham.

— Teraz jestem silny; słowa twoje wlały moc w moje serce, najdroższa!

Krótkie były chwile ich szczęścia; Hugo rozumiał, że Joanna nie powinna dłużej tu pozostawać.

— Odejdź ztąd, ukochana — rzekł łagodnie — narażasz się niepotrzebnie. Truchleję na myśl, coby uczynił Randolf, gdyby cię zastał! Bądź zdrowa; niech Bóg nad tobą roztoczy opiekę.

— Przyrzeknij, że przyjedziesz, skoro odzyskasz wolność...

Uśmiechnął się smutnie.

— Przyrzekam, jeżeli będę wolny, odwiedzić was.

Odprowadził ją do drzwi i raz jeszcze przycisnąwszy do ust jęj ręce, patrzył dopóki nie zniknęła mu z oczu. Wkrótce klucz zgrzytnął w zamku, do komnaty wszedł starszy konstabl.

— Konie już gotowe, jedziemy — oznajmił; — żałuję bardzo, że nie mogłem przynieść wam jakiego posiłku, ale opiekun nie pozwolił na to.

— Nie jestem głodny — spokojnie odparł Hugo.

Konstabl spojrział na niego zdumiony: byłże to ten sam człowiek, którego przyniósł tu zemdłego?... Także zdziwili się wszyscy, kiedy Hugo ukazał się w przedśionku, przybrany do drogi w dawne swoje szaty. Szedł śmiało, z głową do góry wzniesioną a w postawie jego i ruchach przebijała godność i dumę. Łagodne zwykle oczy błyszczały nieznanym ogniem, oblicze tchnęło radością, na ustach zwiśł niedostrzeżony uśmiech. Więc ludzie tak ochoczo idą do więzienia na całe życie i z uśmiechem na ustach żegnają swobodę?

Hugo spokojnie zbliżył się do stołu, na którym leżały przygotowane kajdany i wyciągnął ręce, żeby mu je zakuto.

Pani Wharncliffe wstawiła się za nim.

— Panie — rzekła, zwracając się do sir Peregrina — oszczędź mu tego; przecież można mu zaufać?

— Nie! — zawołał Randolf, śmiejąc się dziwnie — w niczem nie można mu zaufać. Te kajdany były przygotowane dla męża pani; mój brat nie chciał go wydać, słusznie więc musi za niego cierpieć.

Hugo spojrział na Joannę, kryjącą się za siostrami; oczy ich spotkały się i wymieniły wzajem ostatnie pożegnanie. Zwrócił się potem do pani Wharncliffe, ucałował jęj rękę i rzekł drżącym głosem:

— Pani, dziękuję ci za twoją dobroć i gościnność. Chciej mi przebaczyć wszystko, wszystko...

Nie mógł tłumaczyć się jaśniej, jęj było jeszcze trudniej odpowiedzieć mu. Niepodobna mu dziękować w obec tylu niechętnych świadków.

— Żegnam cię, młodzieńcze — odparła ze wzruszeniem — niech cię Bóg błogosławi.

Randolf i sir Peregrine skłonili się przed gospodynią i wyszli na schody. Konie czekały przed ganekiem; pomiędzy nimi był wierzchowiec Hugona, ulubiony jego kasztan, którego przyprowadzono z Longbrigde-Hall. Wsiadł na niego z przyjemnością, myśląc, że po raz ostatni go dosiada.

W tęg chwili nadbiegła stara piastunka, niosąc dla Hugona pudło z lutnią.

— Zostawiłeś sir to — rzekła.

Konstabile ze śmiechem przytroczyli lutnię do siodła, ale Hugo przyjął to obojętnie, gdyż służąca szepnęła mu, że w pudle, oprócz lutni, znajdzie coś więcej. Wszyscy domownicy wyszli na ganek, żeby pożegnać dzielnego młodzieńca, który ofiarował wolność swoją dla ocalenia pułkownika. W niejednym oku łza błysnęła, niejedne usta błogosławiły go po cichu.

Joanna trzymała rękę matki, niespuszczając wzroku z Hugona.

— Jesteście gotowi? — zapytał sir Peregrine.

— Do usług waszjęj cześci — odparł starszy konstabl.

Na dany znak orszak cały ruszył w drogę.

XVIII.

Dziennik Joanny.

„Wahałam się długo, czy pisać dalej dziennik. Tyle wypadków przez ten czas zaszło, że lękam się wspominać o nich, aby zwierzenia moje nie wpadły w ręce złych ludzi. Mniemany lutnista Karl jest moim krewnym, nazywa się Hugo Wharnccliffe; to on obronił mnie w lesie, on ostrzegł nas w stodole o zbliżaniu się żołnierzy, on także poświęcił siebie dla ocalenia mego ojca.

Dwóch braci Killing doniosło lordowi kanclerzowi, że wigowie uknuli spisek na życie króla i księcia York, że zamierzają ich zamordować na drodze z Newmarket do Londynu. Zeznania ich są nie jasne i poplątane, trudno w nie uwierzyć; mój ojciec jednak utrzymuje, że król skwapliwie korzysta z najłżejszego pozorów dla pozbycia się nienawistnych wigów. Największe niebezpieczeństwo grozi przyjacielowi Hugona, pułkownikowi Sydney, znanemu wrogowi rządu.

Wszystko to o tyle mię obchodzi, o ile ma związek ze zdarzeniami, które wstrząsnęły naszym życiem. Ach! ten 18 czerwca... Najboleśniejszy a zarazem najpiękniejszy dzień ze wszystkich, jakie dotąd przeżyłam. W tym dniu poznałam, co to jest cierpienie, poznałam, co to jest miłość. Hugo mię kocha, zwierzył się a ja nagle zrozumiałam, że on mi jest droższy nad świat cały.

Bóg nas przeznaczył dla siebie, inaczej czyżby mię pokochał, kiedy jest tyle dziewcząt lepszych, piękniejszych i mądrzejszych odemnie? Jakże powinienam dziękować Bogu za ten dar nieoceniony, za serce Hugona.

Wszyscy staliśmy na ganku patrząc za nim, gdy go siepacze porwali. Szedł odważnie, nie wstydząc się kajdan, jak przystało na człowieka, który ma sumienie czyste. Kiedy wsiadł na swego kasztana, wyglądał ni by księżę wśród wasalów. Sir Peregrine dał znak do odjazdu i wszyscy ruszyli. Hugo ostatni raz spojrział na mnie, a jego oczy tełnęły miłością. Niebawem cały orszak zniknął w parku.

Matka trzymała wciąż moję rękę i patrzyła na mnie słodkim, poważnym wzrokiem, a we mnie wrzał gniew, dzika nienawiść, nie śmiałam podnieść na nią oczu. Ona odgadła, co się ze mną dzieje; objąwszy mnie ramieniem, zaprowadziła do swojej sypialni, tam kazała mi spocząć na łóżku. Zalałam się łzami; płacząc, złorzeczyłam głośno temu, kto był przyczyną naszych cierpień. Matka pozwoliła mi się wypłakać, wypowiedzieć wszystko co czułam, wreszcie położyła rękę na mojem czole i rzekła:

— Joanno, mówisz o bracie Hugona; pamiętaj, że szlachetny młodzian go kocha.

— Kochać takiego niegodziwca, okrutnika! — zawołałam z uniesieniem, i natychmiast wstyd mnie ogarnął za moje gwałtowność. Gdy się uspokoiłam, matka zaczęła mi opowiadać historią brata Hugona:

— Był to młodzieniec wychowany w niedostatku i niedoli; ojciec jego służył królowi wiernie, stra-

cił mienię broniąc jego sprawy. Syn monarchy nie pamiętał o tém, młodzieniec wciąż cierpiał niedostatek. W tym czasie zaraza mu zabrała wszystko co miał drogiego na świecie: ojca i matkę. Pozostawiony samemu sobie, bez opieki, rady i wskazówek, pozwolił się wciągnąć do towarzystwa ludzi niegodziwych. Zamożny krewny jego należał do przeciwników króla, a jednak otoczony był dostatkiem, podczas kiedy on musiał walczyć z biedą. To spowodowało, że chociaż nie znał krewnego, znienawdził go, zapragnął jego zguby. Za narządzie obrał młodziuchnego brata. Chciwość i nienawiść zagłuszyły w jego sercu uczucia rodzinne a uległszy niecnym popędom, powążył się zgubić niewinnego młodzieńca...

Matka umilkła; pod wpływem jój słów, zawziętość moja do brata Hugona rozwiła się; zamiast złorzeczyć, poczęłam go żałować. Dobra mateczka ukłękła przy łóżku.

— Panie, córka moja umarła, ale przyjdź i połóż na nią ręce, a ożyje—rzekła z namaszczeniem.

Temi słowy Jair błagał Chrystusa o wskrzeszenie córki, ja zaś zrozumiałam wtedy, że nienawiść jest śmiercią a miłość życiem i zawstydyłam się, że dałam do mego serca przystęp uczuciom nieszlachetnym. Zmęczona i strapiona zasnęłam głęboko; obudziłam się dopiero nad wieczorem.

Przez otwarte okna słychać było świegotanie ptasząt i nagle ogarnęła mię tęsknota za cienistemi alejami parku; wstałam, pobiegłam między dęby i klony, ozłoczone promieniami zachodzącego słońca.

Byłam tu wczoraj, mimo to dziś wszystko wydało mi się inne, i nic dziwnego, ja sama się zmieniłam. Niebawem nadeszła matka; wtedy powiedziałam jój, że kocham Hugona, że jestem przez niego kochana. Ona domyślała się tego, ale chciała usłyszeć to z ust moich. Nic nie odpowiedziała, ale znać było, że się zmartwiła. Uważała mię dotąd za dziecko; sądziła, że niepręd-ko jeszcze poznam miłość i jój cierpienia.

— Tyś temu niewinna, drogie dziecko i Hugo także — rzekła po namyśle—ja tylko zawiniłam.

Mysłała zapewne o długich godzinach, które pozwalała mi spędzać z Ewelina przy Hugonie; zażądała, żeby nikomu nie wspominać, nawet siostrom o mej miłości.

— Gdy zapragniesz o nim pomówić, przyjdź do mnie—zauważyła uśmiechając się dobrotliwie.

Opowiedziała mi przytém dzieje swojej młodości. Miała lat siedemnaście, kiedy pokochała mego ojca, rodzice jój długo nie chcieli pozwolić na to małżeństwo, uważając ją wciąż za dziecko. Była bardzo niespokojna, kiedy ojciec udał się na wojnę; został raniony w bitwie pod Worcester, przez kilka tygodni walczył między życiem a śmiercią.

Kochałam nad życie matkę, ale zdaje mi się, że teraz kocham ją daleko więcej.

XIX.

Na rozstajnych drogach nastąpiło pożegnanie z sir Peregrinem; sędzia nakłaniał Hugona do uległości, tłumaczył mu, że jeżeli go posłucha, natychmiast odzyska wolność.

— Pomyśl, jaką boleść sprawiasz bratu przez opór! Będzie zmuszony oddać cię w ręce sprawiedliwości!

— Nie mogę zmienić mego postanowienia — brzmiała odpowiedź.

Z żalem patrzył Hugo na odjeżdżającego sędziego. Więc do tego doszło, że człowiek obcy więcej mu serca okazał niż brat rodzony!

Randolf jechał obok więźnia, przesywając go, od czasu do czasu, groźnym spojrzeniem. Minawszy schludne wioski i uprawne pola, znaleźli się w pustej i posępnej okolicy, zarosłej krzakami. Było południe; czerwcowe słońce paliło jak zarzewie, nigdzie nie widać ani drzewa, pod którego cieniem możnaby się schronić, ani ożywczego źródła.

Randolf nie mógł zrozumieć nagłej zmiany w usposobieniu brata. Zkąd się wzięła taka stanowczość w uległym zwykle chłopcu? Czyżby istotnie wylał się nazawsze z pod braterskiej władzy? To chyba było niemożliwe; z czasem odzyska on dawny wpływ i władzę. Hugo zbyt młody i wrażliwy, żeby długo mógł trwać w oporze.

Przedewszystkiem trzeba zmęczyć go fizycznie, wtedy łatwiej będzie zapanować nad stroną duchową. Powziąwszy zamiar nieludzki, Randolf nie pozwolił na chwilę wytchnienia; kazał jechać spiesźnie, choć twarze konstablów przybrały miedzianą barwę od słońca, a konie okryły się pianą. Wiedział, że Hugo nie był wytrzymały na znużenie; liczył z pewnością, że tym sposobem go pokona.

Na twarzy młodzieńca znać było wyczerpanie; dopieroco powstał z ciężkiej choroby, poprzednią noc spędził bezsennie, w ciągu ostatnich kilku dni przeszedł tyle wzruszeń, nie dziwnego, że sił mu już brakło.

— Bądź cierpliwym, panie — pocieszał go konstabl zdjęty litością — niedaleko stąd jest wioska, tam zatrzymamy się na popas. Szklanka wina najlepiej cię pokrzepi.

— Nie pozwolę na to, żeby dogadzano memu bratu! — surowo ostrzegł Randolf; — niech wie, że jest różnica między więźniem a ludźmi wolnymi.

Hugo milczał, chociaż usta mu drgały tłumionym wzruszeniem. Upał, pragnienie i głód wielce go dręczyły, ale bolesniejsze nad wszystko było obejście się z nim Randolfa.

Około piątej stanęli przed gospodą. Wszyscy zsiadli z koni i weszli do izby, żeby się pokrzepić i posilić, prócz Hugona. Konstabl, zostawiony na straży, tyle tylko mógł dla niego uczynić, że zaprowadził wierzchowca pod kasztan cienisty, który chronił go od palących promieni słońca. Młodzieniec teraz pojął, jaka jest różnica między więźniem a człowie-

kiem wolnym; oparłszy znużoną głowę na karku ulubionego konia, przymknął oczy. Dokoła zebrała się gromadka dzieci, które ze zdumieniem przyglądały się wytwornemu paniczowi, zakutemu w kajdany.

Jakiś szmer zbudził go z odrętwienia; podniósłszy głowę, ujrzał dwoje bosych pacholąt, z których jedno podawało mu kubek wody.

— To dla mnie? — zapytał z uśmiechem.

— Tak panie, — odrzekło starsze, wspinając się na palce.

Koń był wysoki, dziecko nie mogło sięgnąć do ust Hugona. Wtem z poza węgła wysunął się rozczochrany wyrostek, z głupowatą twarzą i błędnymi oczyma; był on niespełna rozumu, ale na widok tego, co się działo pod drzewem, przelotny błysk przytomności rozjaśnił jego rysy. Wziął kubek z rąk dziecka i podniósł do spragnionych ust więźnia. Hugo pił długo i chciwie, a ten kubek czystej, krynicznej wody orzeźwił go i pokrzepił.

W tej chwili wyszedł z gospody Randolf i, zgromiwszy dzieci, że się płaczą niepotrzebnie koło koni, zbliżył się do Hugona.

— Jeszcze trwasz w swoim uporze? — zapytał szorstko, przyczem patrzył groźnie na znękanego brata — nie chcesz odzyskać wolności?

— Wolność moja zależy od ciebie — odparł Hugo.

— Szaleńcze! Powiedz jedno słowo a kajdany opadną z rąk twoich.

— Tego słowa nigdy nie wymówię.

— Zobaczymy! zobaczymy!... Ręczę, że w Newgate będziesz inaczej śpiewał — mruknął okrutnik.

— W Newgate! — wykrzyknął przerażony Hugo. Słyszał okropne rzeczy o tém więzieniu, istnícím piekle na ziemi. Miał nadzieję, że zostanie zamknięty w Tower; byłoby to mniej hańbiące i mniej straszne.

— Naturalnie, że w Newgate — odparł Randolf, śledząc wrażenie, jakie sprawiły jego słowa. — Pomyśl tylko, czém będzie dla człowieka twego urodzenia i wychowania pobyt wśród złodziei, morderców najgorszych wyrzutków społeczeństwa. Nie miej do mnie żalu za to, że cię tam posyłam; sam tego żadasz.

— Masz słusność, sam tego żądam — smutnie powtórzył Hugo.

Milcząc jechali dalej, obaj w głębokiej pograżeni zadumie. W trzy godziny później ujrzeli wieże miasteczka, w którym mieli nocować. Przybycie orszaku jeźdźców sprawiło tam wielkie wrażenie; wszyscy wybiegli, żeby im się przyjrzeć, ale największą ciekawość budził więzień. Kobiety i dzieci wskazywały go sobie palcami, mówiąc głośno: „Patrzenie, to musi być jeden ze spiskowych!” — „Pewno powieszą go w Tyburn!” — „Dobrze mu tak!” — „Szkoda chłopca, taki młody i ładny!”

Wyrazy te dochodziły do uszu Hugona i wywoływały na jego bladą twarz palące rumieńce wstydu.

— Nie zważajcie na ich głupie paplanie — pocieszał go jeden z konstablów, chłop olbrzymiego wzrostu. — Brzęczą jak muchy.

Stanęli nakoniec przed gospodą. Zsadzono Hugona z konia i zaprowadzono go na górę, do osobnej izby. Był tam już Randolf, który się kłócił ze starszym konstablami.

— Jeżeli tak, ja nie odpowiadam za odstawienie więźnia żywego do Londynu — mówił z gniewem ostatni.

— Nie waż się wtrącać do moich planów, bo drogo za to zapłacisz! — ofuknął go rozjątrzony Randolph — znam lepiej chłopca niż ty.

Konstabl mruknął kilka słów niezrozumiałych, a w tej chwili wprowadzono Hugona.

— Mam nadzieję, że głód wpłynie na zmianę twego postanowienia — odezwał się okrutnik urągliwie — wtedy zawiadomisz mię o tém.

Hugo milczał.

— Dobranoc. Pamiętaj, żebyś był gotów na siódmą do drogi.

I tym razem żadnej odpowiedzi.

— Słyszysz! — krzyknął Randolph.

— Będę gotów na siódmą — rzekł młodzieniec.

Starszy brat zaklął i wyszedł, trzaskając drzwiami. Zkąd ten hart i wytrwałość w dwudziestoletnim chłopcu, który dotąd był miękkim jak воск.

Zaledwie Randolph zniknął, Hugo z jękiem padł na krzesło, niepomny na obecność konstabla, któremu zlecono straż nad nim.

— To mój brat! mój rodzony brat! — wołał rozżalony.

— Nie martw się, sir, może wszystko na dobre się obróci — uspokajał go konstabl. — Lepiej spocznijcie; musicie być dyabelnie zmęczeni. Nie mogę przynieść wam wieczerzy, bo mi wzbroniono, ale chociaż pomogę wam się rozebrać.

Prosty człowiek miał dobre serce i z troskliwością piastunki ułożył Hugona do snu. Młodzieniec zasnął szybko, nazajutrz konstabl ledwie że zdołał go obudzić.

— Musicie sir mieć sumienie spokojne, kiedy możecie spać tak mocno — zauważył pocziwiec. — Dałbym głowę, że tyle wiadomo wam o spisku, co nowonarodzonemu niemowlęciu.

— Zgadłeś — odparł Hugo.

Drugi dzień podróży był równie okropnym jak pierwszy; Randolph, patrząc na brata, coraz bardziej nabierał nadziei, że uda mu się w końcu przełamać jego upór. Oblicze młodzieńca nosiło wyraz ostatniego wyczerpania; dręczony głodem i pragnieniem, znużony drogą i upałem ślaniał się na siodle, przygasłym wzrokiem wpatrywał się w zielone błonia i lasy. Dożywotnie więzienie! Wiedział, co znaczyły te okrutne słowa; wiedział, że niebawem bramy Newgate oddziela go od świata i zamiast życzyć końca tej męczącej podróży, pragnął ażeby trwała jaknajdłużej.

Serce w nim zamarło z trwogi, kiedy ujrzał wieże Londynu. Pod wieczór wjechali do miasta, ale zamiast skierować się wprost do więzienia, zatrzymali się przed gospodą. Hugo był napół nieprzytomny; konstable musieli zsadzić go z konia i na rękach zanieść do izby. Rzucił się machinalnie na najbliższe krzesło i długo przesiedział bez ruchu, w zupełnym odrętwieniu. Przez otwarte okna dochodziły odgłosy ruchu miejskiego, turkot powozów, nawoływania przekupniów, kroki przechodniów na bruku, ale Hugo tego nie słyszał.

Wtem klucz zgrzytnął w zamku i Randolph wszedł do izby.

— Na miłość Bożką! wody! — gasnącym głosem błagał młodzieniec.

— Widzę, że jesteś strasznie zmęczony, mój biedny chłopcze — łagodnie rzekł Randolph, nie spełniając jednak prośby brata — jeżeli w takim stanie pójdiesz do Newgate, gorączka więzienna w kilka dni cię zabije.

— Nic na to nie poradzę.

— Możesz poradzić i uczynić to przez miłość dla mnie — mówił Randolph z nieudanym wzruszeniem. — Sądziś może, że nie dbam o ciebie, nie boleję nad tobą? Pierwszy raz stoimy naprzeciw siebie nie jak bracia i przyjaciele, lecz jak wrogowie. Opamiętaj się póki czas jeszcze! Wszystko ci przebaczę i o wszystkim zapomnę; król cię hojnie wynagrodzi, dostaniesz połowę majątku i będziesz znowu dla mnie najlepszym, najukochańszym bratem.

Nigdy jeszcze Randolph nie przemawiał do niego w ten sposób, nigdy nie okazywał mu takiej troskliwości i przywiązania. Kiedy Hugo był dzieckiem, rzadko zaznał braterskiej pieczyoty; w młodzieńczym wieku największą nagrodą, najwyższym szczęściem było dla niego słowo zachęty lub pochwały z ust Randolpha, za jedno takie słowo byłby gotów skoczyć w ogień, a teraz ten szorstki i twardy człowiek upokarza się przed nim, przemawia doń z tklivością, prosi zamiast rozkazywać.

— Jesteś głodny i spragniony — mówił dalej Randolph przekonywającym tonem — ach! jakżebym chciał nakarmić cię i napoić, przytulić do serca, niby

ukochane dziecię!... Dość już tego; dałeś dowód, że masz hart i wolę. Jesteś blizki omdlenia, przyniosę ci szklanekę wina, tylko przedtém podpisz ten papier. Proszę cię o to.

Hugo wziął papier i przeczytał go. Pod zawilą siecią słów i wyrażen prawnych, kryło się formalne zobowiązanie wyjawienia wszystkiego, coby mogło służyć do wykrycia spiskowców.

W głowie Hugona panował nieopisany zamęt; nie mógł zebrać myśli, ścisnął rękoma rozpalone czoło. Randolph tymczasem wydobyl kalamarz z kieszeni i przysunawszy stolik, podał bratu pióro.

— Chodź drogi chłopcze — rzekł — podpisz prędko, a natychmiast zawiozę cię do domu, gdzie Jerry zaopiekuje się tobą. To twój obowiązek względem króla i kraju; wszystkie inne względy muszą przed nim ustąpić.

Pokusa była niemal nad siły Hugona. Gdyby chociaż Randolph nie patrzył na niego tak łagodnie, nie obchodził się z nim tak dobrotnie! Co począć? Z jednej strony ponure widmo celi więziennój w Newgate i gniew starszego brata, z drugiej zapłakana twarzyczka Joanny i wyrzuty sumienia...

— Boże! natchnij mnie! Wskaż co mam czynić? — szepnęła, składając ręce.

— Podpisz, chłopcze — kusił Randolph, uśmiechając się do niego — na co ta zwłoka!

— Tak, masz słuszność! — zawołał Hugo, zrywając się — na co ta zwłoka!

Pochwycił papier i, podarłszy go na drobne kawałki, rzucił na ziemię.

— Oto moja odpowiedź! Teraz czyn ze mną co zechcesz.

Przez chwilę głucho milczenie panowało w pokoju. Bracia stali naprzeciw siebie, mierząc się oczyma jak dwaj zapaśnicy. Wściekłość, zawód i nienawiść malowały się na rozognionej twarzy starszego; młodszy bladł coraz bardziej, gdyż ta ostatnia walka wyczerpała go zupełnie.

— Zapłacisz mi za to! — syknął nakoniec Randolf, następnie poskoczył do drzwi i zamknął je za sobą.

Hugo stracił przytomność.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.